



---

ADAM BANIAK

MOJE WSPOMNIENIA  
Z UJŚCIA KARPACKIEGO

---

PRZYSIÓŁKA ODERNE I OKOLICY



Moje wspomnienia, które przytaczam dotyczą nie tylko osobistych przeżyć ale także informacji i wiedzy przekazanej mi przez moich przodków, w szczególności Rodziców oraz Dziadków. Niektóre fakty, szczególnie genealogiczne, są efektem moich dociekań archiwalnych i zapisków rozmów z ludźmi, których obecnie mogę spotkać już tylko na cmentarzach.

Wielu mieszkańców Gorlic i powiatu gorlickiego pewno nie zna tej nazwy miejscowości, której użyłem w tytule. Kojarzyć mogą raczej Uście Gorlickie, Uście Ruskie, Uście Wołoskie, czy po prostu Uście. Ja jednak miałem to szczęście urodzić się w miejscowości, której nie znajdziemy na mapie, ba nie znajdziemy nawet w oficjalnych spisach miejscowości z różnych okresów. Ujścia Karpackiego po prostu nie było. A jednak przyszedłem na świat 23 stycznia 1949 r. właśnie w tej miejscowości, w przysiółku Oderne. Świadczy o tym „Odpis zupełny aktu urodzenia” nr 8/49 z dnia 27 stycznia 1949 r. gdzie zarówno wpisy jak też urzędowa pieczęć noszą tę nazwę. Jak to się stało? Otóż, najprawdopodobniej po wyjeździe (w czasie II wojny światowej) rdzennych mieszkańców na wschód i późniejszej deportacji już nielicznych Łemków na ziemie odzyskane – tym razem na zachód, postanowiono zmienić nazwę miejscowości z Uścia Ruskiego na bardziej polsko brzmiące Ujście Karpackie. Odkonstatało się to pewno w pośpiechu, z pominięciem drogi prawnej i w konsekwencji ta nieuprawomocniona nazwa figurowała lokalnie w latach 1948-1950. Dopiero ustawą sejmową ogłoszoną w Dzienniku Nr 47, poz. 430, § 7 z 1950 r. zmieniono nazwę wsi Uście Ruskie na Uście Gorlickie, obowiązującą od dnia 1 stycznia 1951 r. Moja wieś, której przysiółkiem było Oderne zupełnie „zniknęła”.

W mroźny, styczniowy poranek 1949 r. pojawiłem się na świecie właśnie w tym przysiółku Oderne. Moja kondycja jako noworodka była bardzo wątpa i odbierająca poród Babcia Magdalena zaraz po urodzeniu na wszelki wypadek ochrzciła mnie „z wody” i nadała imię Adam. Szczęśliwie wykaraskałem się z tych wczesnych przypadłości i ochrzczony zostałem w miejscowej kaplicy po raz drugi, zyskując niejako przy okazji drugie imię – Jerzy. Chrzestnymi byli: ciocia Dioniza Motyka (po mężu Stawiarz) i wuj Bolesław Szymczyk. Na przekór wszystkiemu żyję w nienajgorszej kondycji do dnia dzisiejszego.

Zanim przejdę do wspomnień; troszkę historii i genealogii. Oderne, jak już udowańiałem w różnych, wcześniejszych opracowaniach, powstało na zrębie poeksploatacyjnym huty szkła założonej w tzw. „ujskim lesie” około 1860 r., a nie w XVII w. (szkoda, wiek bowiem nobilituje, ale niestety takie są fakty). Wcześniej nazwa Oderne dotyczyła łąnu Uścia Ruskiego, głównie porośniętego lasem. Jedynie w części tego łąnu, w pobliżu centrum Uścia były pola uprawne. Huta, którą założył Franciszek Trzecieki – właściciel Uścia Ruskiego i okolicznych wsi – była trzecią z kolei na tym terenie. Pod koniec XVIII w. powstała tzw. obecnie Stara Huta poza Uściem, po lewej stronie drogi prowadzącej do Czarnej, na początku XIX w. w Wysowej (obecnie teren Huty Wysowskiej) i dopiero w drugiej połowie XIX w. w przyszłym Odernem. Huta ta zakończyła funkcjonowanie w pierwszej połowie lat 70-tych, ale to nie koniec działalności hutniczej na naszym, uściańskim terenie. Właściciel huty przeniósł ją poniżej Uścia w okolice dzisiejszej „cofki” zalewu Klimkówka, gdzie działała prawdopodobnie do początków wieku XX. Przed zakończeniem działalności huty spowodowanej brakiem surowca – bowiem wycięto las do tzw. „linii” ograniczającej Oderne od północnego zachodu (do chwili obecnej las poza wyznaczonym terenem nazywany jest „zaliną”) czyli wyznaczonej przez właściciela granicy eksploatacji surowca drzewnego – do huty przybył właściciel Odernego – Franciszek Trzecieki. Zaproponował hutnikom pozostanie na tym terenie, karczowanie zrębu, uprawianie ziemi i budowanie siedlisk. Nowi rolnicy byli zwolnieni z opłat czynszowych – otrzymywali także za darmo drewno na budowę domów i opał. Po śmierci Franciszka właścicielką została jego córka Magdalena, którą ojciec „ceńił za ścisły umysł”. Magdalena była już żoną Edwarda Miłkowskiego, właściciela części Gorlic. Nowa właścicielka z energią zabrała się za realizację woli ojca. Z ambon kościołów w okolicznych parafiach rzymskokatolickich popłynęły apele o osiedlanie się na zrębie poeksploatacyjnym huty szkła w przyszłym Odernem wraz z obietnicą ulg i pomocy ze strony właścicieli. Tak też się stało. Na zręb zaczęły przybywać najczęściej młode małżeństwa, ale także kawalerowie, powstawały nowe domy, a ich właściciele uczyli się często gospodarki rolnej od bardziej doświadczonych. W 1879 r. w dokumentach parafii greckokatolickiej w Uściu Ruskim po raz pierwszy pojawiła się nazwa przysiółka „Odyrne”. Pod koniec XIX w. osada liczyła już około czterdziestu gospodarstw. Na przełomie wieków znaczna liczba mieszkańców emigrowała do USA. Część z nich wróciła, część pozostała na stałe w Ameryce.

Rodzina mojego Taty Antoniego Baniaka zarówno po mieczu, jak też kądzieli wywodziła się z rodzin hutników szkła. Już w 1798 r. mój pradziad Franciszek Haslinger, pracownik Starej Huty w Uściu Ruskim ożenił się z Łemkinią Ewą Romcio, z którą wraz z dziećmi przeniósł się około 1807 r. do Huty Wysowskiej. Córka Franciszka i Ewy – Anna wyszła za mąż w Hucie Wysowskiej za hutnika szkła Szymona Górskiego, natomiast ich córka Katarzyna – za Jana Berdar. Mój pradziadek Jan Baniak ożenił się w 1878 r. z Marią, córką właśnie Katarzyny i Jana Berdar.

Dziadek mojej Babci Magdaleny, żony Wincentego Baniaka, Antoni Opitz pochodził także z rodziny hutników szkła ze Szczakowej. W pierwszej połowie wieku XIX przybył jeszcze jako kawaler do pracy w hucie szkła w Borownicy koło Birczy. Tam poznał swą przyszłą żonę Katarzynę Suchar, z którą miał co najmniej trzech chłopców. Najstarszy Józef przeniósł się do pracy w Hucie Miłków koło Przemyśla, zaś dwaj młodsi Jan i Karol wraz z matką Katarzyną przyjechali do huty oderniańskiej. Zamieszkali jak inni hutnicy w baraku robotniczym pod nr 141. Gdy Karol szedł do powstania w styczniu 1863 r. jego brat Jan zawarł ślub w uściańskiej cerkwi z Petronelą Kosek. Karol zasłużył się w jednej z bitew chroniąc kasę powstańczą i w nagrodę dostał konia, na którym powrócił szczęśliwie do domu, gdzie w sąsiedztwie czekała jego narzeczona Anna Cenker. Pobrali się około 1867 r. i doczekali dwunastki dzieci. Wśród liczego potomstwa była także moja Babcia Magdalena urodzona w 1888 r. – przyszła żona dziadka Wincentego.

Małżeństwo moich dziadków nie było sprawą prostą. Magdalena była dość posażną partią z zamożnego domu, natomiast Jan był *filius illegitimi thori* (syn z nieprawego łoża) Marii Baniak, która pojawiła się w Hucie Wysowskiej na krótko w połowie XIX w. jako służąca. Urodziła pradziadka Jana i wszelki ślad po niej zaginął, nawet w dokumentach parafialnych. Mój Tato opowiadał, że jego dziadek zawsze mówił, iż jest jedyny na świecie – nie ma rodziców, żadnego rodzeństwa ani bliższej czy dalszej rodziny. Pradziadek Jan urodził się w 1858 r. i być może wychowywał się w rodzinie któregoś z jego chrzestnych – Demiańczyków lub Berdarów. Już w wieku kilkunastu lat zatrudnił się w Hucie Oderniańskiej na stanowisku pomocnika majstra. Jeszcze jako kawaler wydzierżawił od Magdaleny Miłkowskiej znaczną ilość wyrębu po ściętym lesie na opał do huty, i po wykarczowaniu pni założył gospodarstwo. W 1913 r. formalnie wykupił tę ziemię wraz z zabudową od Anny Laskowskiej i Zofii Stawiarskiej. Był pracownikiem sumiennym i cenionym co pozwoliło mu w kilka lat zgromadzić środki finansowe umożliwiające zakup powyższych nieruchomości. Na pewno znaczny udział

w kosztach miała jego żona – Maria Berdar, z którą ożenił się we wrześniu 1879 r. W roku 1890 jako pierwszy gospodarz w Odernem zakupił od dwóch, uściańskich właścicieli pierwsze, własne grunty rolne.

W rodzinie Jana i Marii urodziła się dwunastka dzieci, z czego czwórka (w tym dwoje bliźniaków) zmarło w wieku niemowlęcym. Z pozostałej ósemki tylko dwójka (Ignacy i Katarzyna) nigdy nie opuścili Polski, kolejna dwójka (Wincenty i Paulina) po krótkim pobycie w USA i zarobieniu pewnej ilości dolarów powrócili i pozostali w Kraju, natomiast trójka z nich (Aniela, Alojzy i Karol) wyjechała na stałe do Ameryki – w latach 60-tych dołączyła do nich (i do swego syna Kazimierza) Tekla.

Wracając do losów moich Dziadków – Magdaleny Opitz i Wincentego Baniak dość powiedzieć, iż mimo pewnego mezaliansu doprowadzili sprawę małżeństwa w dość ciekawy sposób do końca. W 1903 r. Wincenty udał się do swojej siostry Anieli do USA, a Magdalena dwa lata później do swego wuja Leona Cenker do Cohoes koło Nowego Yorku. Oboje ciężko pracowali i w roku 1906, właśnie w Cohoes, w małym polskim kościółku zawarli związek małżeński. Po ślubie ze znaczną gotówką wrócili w 1907 r. do Kraju. Zarobione pieniądze pozwoliły im zakupić dwa domy, z których jeden koło ufundowanej w 1898 r. przez Magdalенę Miłkowską kaplicy miał być przeznaczony dla księdza, oraz kilka hektarów ziemi. Warto może dodać, że wybudowanym przez Magdalенę Miłkowską kościołem od początku zajmowała się nasza rodzina i trwa to do dzisiaj.

W czasie Wielkiej Wojny dziadek Wincenty został włączony do wojska austriackiego i walczył na froncie francuskim. Szczęśliwie wrócił do domu.

Wincenty i Magdalena doczekali się jedenastki dzieci z czego trójka zmarła w wieku niemowlęcym. Wśród pozostałej ósemki był mój Tato Antoni. Urodził się w Odernem 10 stycznia 1917 r. W latach 1924–1930 ukończył sześcioletnią, czteroklasową szkołę powszechną w Odernem i do roku 1932 pomagał rodzicom w gospodarstwie rolnym. Rok ten okazał się przełomowym w życiu Antoniego. Tragiczne wydarzenie z listopada 1932 r. pozostawiło ogromną traumę, w wyniku której Antoni do końca swego życia starał się przebywać poza rodzinną miejscowością. W ową feralną niedzielę, pod nieobecność rodziców, pokazywał grupie kolegów legalny pistolet swego ojca Wincentego, który podczas prezentowania wystrzelił raniąc śmiertelnie jednego z nich.

Jako niespełna szesnastoletni chłopak podjął pracę w tartaku parowym w Ługu koło Zdyni u właściciela Olinera. Wykonywał prace przy ścinie i manipulacji jakościowej drewna pozyskiwanego w lasach prywatnych właścicieli z Łosia, Zdyni, Koniecznej i Gładyszowa. Praca ta trwała do końca października 1934 r. Następnie wraz z grupą kolegów podjął pracę w prywatnym tartaku Henryka Płockier i spółki w Sanoku-Dąbrówce od października 1934 do końca sierpnia 1939 r. Pracowali przez cały tydzień przychodząc pieszo na niedzielę do domu (ok. 100 km). Kiedy zarobili pierwsze pieniądze poskładali się na zakup wspólnego roweru, na którym nauczyli się jeździć. Kolejnym krokiem było wyposażenie się w indywidualne pojazdy, które znacząco skracają czas pokonania odległości Sanok-Oderne. Szkoda, że drogi nie były jeszcze pokryte asfaltem...

Ten okres pracy w lasach do 1934 r. wymagał od robotników niezwykłego hartu ducha i wytrzymałości fizycznej. Pracowali zwykle w znacznej odległości od miejsca zamieszkania w bardzo trudnym terenie, po kilkanaście godzin na dobę co powodowało, że nie wracali na noc do domu, nocowali w prymitywnych szałasach zwanych kolibami i żywili się zapasami przyniesionymi po niedzielnym pobycie w rodzinnej wsi. Wspólne wieczorne rozmowy przy ognisku, szczególnie wspomnienia starszych współpracowników dotyczyły głównie tzw. „strachów” czyli zdarzeń anormalnych. Słynne było opowiadanie zdarzenia o tzw. „babie”, która wychodziła nocą „do roboty”. Zacytuję tu fragment wywiadu przeprowadzonego z leśniczym Sylwestrem Górskim (1908-1982) z Uścia Gorlickiego (kuzynem mojego Taty) dla IMT „Światowid” w 1975 r.:

Byłem wyrostkiem, kiedy zacząłem pracować w lesie. Miałem ze 12 lat... Robiliśmy ścinę drzewa w lesie koło Świerżowej na Mareszce. Na noc nie wracało się do wsi, tylko robiło kolibę w lesie. Tak było i tym razem. Rozpaliliśmy ognisko, zjedliśmy kolację, weszliśmy w dwunastkę do koliby i zbieramy się do spania. Raptem ktoś sobie przypomniał, że ludzie we wsi gadają, że na Mareszce straszy. Wystarczy krzyknąć – „wychodź baba do roboty!”. We dwóch z Jaśkiem – byliśmy w gromadzie najmłodszy – postanowiliśmy wywołać złego ducha. Po zaklęciu – cisza. Układamy się do snu, ognisko przygasa... Aż nagle – słychać, w lesie coś się dzieje... Od dołu idzie stukot siekiery. Tak jakby ktoś ścinał sęki – wyraźny, metaliczny dźwięk, a mróz był wtedy srogi – niesie daleko po górach. Struchleliśmy. Odgłosy przybliżyły się znacznie do koliby. Już słychać poświst upadających drzew. Co więcej – pęd powietrza niemal przygasił ognisko. Czujemy,

że rozgrywa się to wszystko tuż obok nas. Potem „coś” zabrało się do naszych równiutko ułożonych sągów. Rozwala drwa na wszystkie strony. Starsi zabronili wychodzić z koliby i w ogóle się ruszać. Siedziało nas dwunastu chłopów – z czego dziesięciu dorosłych – i ani nosa nie wychyliło za szalę. Nic, tylko wszyscy się żegnali. Po jakimś czasie odgłosy zaczęły się oddalać. Coraz dalej było słychać siekierę w lesie... Zasnęliśmy. Rano – patrzymy – sągi stoją równiutko jak wczoraj, żadne drzewo koło koliby nie ścięte. Gdyby ktoś był w pojedynkę pomyślałby – śniło mi się to wszystko... Jak się okazało baba jakaś na Mareszce się obwiesiła. I odtąd, jak ją zawołać w nocy, żeby wyszła do roboty – straszny.

Takich opowieści dotyczących „strachów” w lasach zwłaszcza po Wielkiej Wojnie było więcej. Często siadałem na kolanach mojego dziadka Wincentego, który opowiadał zdarzenia z walk na froncie francuskim I wojny światowej – niestety byłem zbyt mały żeby je zanotować czy zapamiętać. W pamięci utkwiała mi jednak także inna opowieść mojego ojca o „strachach” podczas pracy w lasach Beskidu:

Wykonywaliśmy wówczas drewniane klepki z przeznaczeniem na różne naczynia drewniane – beczki, cebry, wanny czy też skopki do mleka. Ułożyliśmy je do wieczora w równiutkie stosy i po skromnej kolacji położyliśmy się do snu na jedlinowej pościeli w kolibie. W pewnej chwili usłyszeliśmy stąpanie konia i wyciszony przez ściółkę leśną na drodze turkot drewnianych kół wzmocnionych tzw. rafami, czyli metalowymi obręczami. Woźnica zatrzymał zaprzęg przy naszych klepkach i zaczął je ładować na wóz. Wyraźnie słychać było charakterystyczny stukot układanych deseczek. Chcieliśmy natychmiast zatrzymać złodzieja, lecz starsi koledzy zabronili nam wychodzenia z koliby. Wóz został załadowany, woźnica krzyknął wiooo, i cała nasza praca poszła na marne. Tak się nam przynajmniej wydawało. Jakież było nasze zdziwienie, gdy rankiem okazało się, że wszystko jest na swoim miejscu...

Oprócz tak niezwykłych wydarzeń zdarzały się też przypadki znajdujące w końcu racjonalne wyjaśnienie. Wróć jeszcze raz do Ilustrowanego Miesięcznika Turystycznego „Światowid” z 1975 r. i opowieści Sylwestra Górskiego:

Kiedy ojciec [Jan Górski – zaginął w I wojnie światowej – przyp. aut.] poszedł w 1914 r. na wojnę, ja poszedłem zarabiać do lasu, i przy lesie zostałem już na

całe życie... Byłem już leśniczym, kiedy do Tylawy przyjechał góral. Nieszczęście go spotkało, bo szkapa mu żonę zabiła. Dziki zaś strasznie mu pole zryły. Zaszedłem kiedyś do niego. Siedział w budce na polu i pilnował uprawy przed dzikami, ale strasznie był nieswój. Przyznał się w końcu, że chyba żona nieboszczka go po śmierci straszy. Codziennie koło północy „zmywa gacie” w strumieniu. Postanowiłem sprawdzić. Przyszła ta godzina i poszedłem nad strumień. Jeszcze byłem daleko kiedy słyszę – rzeczywiście. Chlupot jakby ktoś pranie w strumieniu robił. Mrówki mnie przeszły. Podchodzę bliżej – a tu smyknął dzik. Nic nie powiedziałem góralowi, tylko w następną noc podczołgałem się pod strumień. Był drań. Przydeptywał wiklinę przy brzegu i spod niej wybierał pstrągi. Chlupot taki robił, że nietrudno to było wziąć za odgłosy mycia w potoku. Wypaliłem ze strzelby. Wstałem – nie ma dzika. Poszedłem do górala po latarnię i razem zaczęliśmy przeszukiwać zarośla. Okazało się, że strzał wyrzucił go na drogę. Wypasiony był na tych rybach jak tucznik. Dopiero wtedy wyjaśniłem góralowi, kto go straszy po nocach...

Jesienią 1939 r. w mieszkaniu dziadków w Odernem policja ukraińska z posterunku w Uściu Ruskim przeprowadziła rewizję w poszukiwaniu broni przejętej 1 września przez brata Taty Aleksandra, żołnierza Obrony Narodowej z posterunku policji polskiej w Uściu Ruskim w ilości 5 karabinów i 3 pistoletów oraz 2 skrzynek amunicji. Były one przechowywane w obrębie gospodarstw Aleksandra (po wojnie świetlica wiejska nad oderniańskim potokiem) oraz jego rodziców. Mimo stosowania gróźb i przemocy fizycznej Antoni wraz z młodszym bratem Henrykiem nie zdradzili kryjówki, mimo tego zostali uznani przez „siczowników” ukraińskich zakładnikami na czas nieokreślony – czyli w przypadku jakichkolwiek zdarzeń na terenie Odernego przeciwko władzom okupacyjnym podlegali uwięzieniu i likwidacji.

Od początku okupacji hitlerowskiej Tato pracował jako robotnik leśny w nadleśnictwie Śnietnica. 1 czerwca 1941 r. ożenił się z Ireną, córką Stanisława Motyki i Emilii Gąsiorek z Odernego. Irena zatrudniona była wówczas jako osiemnastolenna dziewczyna w gospodarstwie Wężyków, które mieściło się w Uściu Ruskim za rzeką Ropą po lewej stronie drogi wiodącej do Wysowej. Była tam pomocą kuchenną. Ślubu w oderniańskiej kaplicy udzielił im ks. Julian Śmietana, proboszcz parafii w Wysowej od początku jej założenia w 1938 r. Pierwszą parafią, w której ks. Julian pełnił obowiązki wikariusza była parafia w Wielopolu Skrzyńskim. Spotkał tam studiującego na ASP



w Krakowie Tadeusza Kantora późniejszego reżysera, malarza, scenografa, grafika, autora i twórcy polskiego teatru awangardowego Cricot 2. Wspomagał go finansowo w sposób pośredni – zlecał mu malowanie obrazów, które potem od niego kupował. Z tego okresu zachował się tylko jeden obraz przedstawiający św. Juliana, który oglądałem w tzw. Kantorówce, czyli starej plebanii w Wielopolu Skrzyńskim. Ks. Julian Śmietana wrócił z Odernego do Wielopola w roku 1942 r. ale już w charakterze proboszcza. Jako proboszcz i prałat wystawił w 1983 r. sztukę „Wielopole, Wielopole” w miejscowym kościele. Brał także osobiście udział w tym przedstawieniu. Przyjaźnił się do końca z Tadeuszem Kantorem. W okresie „proboszczowania” w parafii Wysowa niecały rok mieszkał w wysowej w willi „Helena”, której właścicielem był Tadeusz Mruk. Od 1 września 1939 r. zamieszkał w Odernem (w szkole powszechnej u państwa Rzeszutów), a następnie do końca pobytu w tej parafii – w moim rodzinnym domu u dziadków.

Po ślubie rodzice wyjechali do Malawy koło Rzeszowa, gdzie już wcześniej pracowało rodzeństwo: Andrzej Humecki i Lubomira Dąbrowska z domu Humecka, dzieci Antoniego Humeckiego – karczmarza w Uściu Ruskim. Jego karczma znajdowała się na miejscu obecnego ronda, po wojnie nosiła szyld „Pod Twardowskim”. Rozebrana budowla jako zabytek miała zostać odbudowana ale do tej pory nic w tym zakresie się nie dzieje. 23 lutego 1942 r. w Malawie urodził się mój najstarszy brat Kazimierz, późniejszy nadleśniczy w Nowych Ramukach i Olsztynku na Warmii. Jego chrzestnymi zostało wspomniane powyżej rodzeństwo Humeckich.

Po urodzeniu się dziecka rodzice wrócili na krótki okres do Odernego. Podróż nieogrzewanym pociągiem z niemowlakiem w czasie silnych mrozów nie należała do najprzyjemniejszych, tym bardziej, że w czasie podróży Niemcy przeprowadzali kontrolę podróżnych. Podejrzewali, że Mama w beciku przewozi jakieś niedozwolone przedmioty lub żywność. „Rozbebeszyli” więc ów becik i dopiero po sprawdzeniu zawartości ze słowami *kinder, kinder* opuścili przedział. Prawdopodobnie to zdarzenie było przyczyną poważnej choroby ucha małego Kazika. Po powrocie Tato kontynuował pracę jako robotnik leśny w nadleśnictwie Śnietnica zamieszkując z rodziną (w kwietniu 1943 r. w Odernem urodził się drugi syn – Piotr) w starej chyży w Astrabiku. Był to przysiółek Uścia Ruskiego po prawej stronie drogi w kierunku Hańczowej za drogą do Czarnej i za przysiółkiem Kowalów. Od jesieni 1944 r. do lutego 1945 r. pracował przymusowo przy budowie okopów w Brunarach.

Zaraz po powrocie z Malawy, w lutym 1942 r. Tato przystąpił do Armii Krajowej składając przysięgę w obecności Stefana Macieja Rzeszuta, męża kierowniczkii szkoły w Odernem oraz st. sierżanta Adolfa Benke, przyjmując pseudonim „Wacek”. Ze względu na położenie domu w Astrabiku – w lesie, w oddali od dróg i innych zabudowań częstymi gośćmi byli partyzanci, „ludzie z lasu”. Gdy Mama piekła chleb, jego zapach rozchodzący się w gęstwinie ściągał „leśnych gości” – Mama musiała więc za każdym razem uwzględnić odpowiednią ilość zaczynionego ciasta aby dla nich też starczyło. W marcu 1945 r. brat Taty – Aleksander pseudonim „Baca” przyprowadził do chaty rodziców dwóch partyzantów: rannego Antoniego Siwiaka i Władysława Pierzchałę – prawdopodobnie partyzantów oddziału „Żbik”. Ulokowani zostali na strychu domu i ukrywali się do lipca, do czasu wyleczenia rannego.

Po wyzwoleniu spod okupacji niemieckiej i utworzeniu w dniu 20 marca 1945 r. Dyrekcji Lasów Państwowych Okręgu Rzeszowskiego w Tarnowie, Tato rozpoczął pracę jako gajowy przy nadleśnictwie Ropa. Końcem lipca 1945 r. otrzymał mieszkanie służbowe w domu połemkowskim w Klimkówce. Tam w sierpniu 1945 r. na świat przyszła moja starsza siostra – Bolesława (zm. 15 marca 2023 r.). Dom w Klimkówce, do którego się wprowadzili był siedliskiem różnych insektów. Gdy w nocy Mama po raz pierwszy usiłowała wstać z łóżka pod stopami wyczuła dużą ilość pluskiew i innych owadów. Musiała najpierw zapalać lampę naftową, której światło odstraszało intruzów, by móc chodzić po podłodze. Oczywiście natychmiast przeprowadzono odpowiednie działania aby pozbyć się owej „szarańczy”. W tych trudnych warunkach przetrwali niecały rok. Nocą z 27 na 28 lipca 1946 r. do domu wkroczyli Ukraińcy – członkowie UPA. Nakazali natychmiastowe opuszczenie mieszkania a inna część bandy już polewała budynek z zewnątrz benzyną. Chcieli także uprowadzić Tatę, ale błagania Mamy z trójką maleńkich dzieci ruszyły sumienia bandytów i pozostawili Antoniego. Z mieszkania rodzice zdążyli zabrać tylko pierzynę, w którą Mama owinęła kilkumiesięczną Lesię i uciekli z budynku, który już stał w płomieniach. W ferworze zdarzeń zapomniano o pomagającym w gospodarstwie Józefie Świąsie, który nieświadom sytuacji spał na strychu. Ojciec w porę wbiegł po drabinie i w ostatniej chwili uratował chłopaka. Krowę udało się wyprowadzić ze stajni ale kury jak muchy do światła wracały w ogień gdzie ginęły. Tak to zdarzenie opisane zostało w krótkim raporcie Powiatowego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego w Gorlicach dla Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego w Rzeszowie:

W nocy z 27. na 28.7.46 r. bandyci U.P.A. napadli na gromadę Klimkówkę gm. Uście Ruskie, zerwali połączenie telefoniczne, obstawili wioskę i przystąpili do podpalania domów, zamieszkałych przez repatriantów polskich. Pastwą pożaru padło 19 gospodarstw łącznie z inwentarzem żywym i martwym.

Było to pierwsze mieszkanie służbowe – gajówka gajowego Antoniego Baniaka, które zniknęło z powierzchni ziemi, a z nim wszelkie dokumenty i precjoza rodzinne. Do rana rodzice z dziećmi przeczekali w pobliskim potoku, rano sąsiadka – Łemkini – przyniosła trochę jedzenia, z Odernego nadjechała furmanka i zabrała ich do domu rodzinnego. Obecnie w miejscu, gdzie stała gajówka szumią wody zalewu Klimkówka.

Po tych niezwykle trudnych doświadczeniach Tato postanowił śladem innych mieszkańców Odernego wyruszyć na zachód, na Ziemię Odzyskane. Po wstępnym rekonesansie i obejrzeniu kilku leśniczówek napisał podanie o zatrudnienie w nadleśnictwie Głuszycy koło Wałbrzycha. W dniu 6 września 1947 r. otrzymał ofertę następującej treści:

Na prośbę obywatela Nadleśnictwo Państwowe Głuszycy skłonne jest przyjąć go na przodownika w tut. Nadleśnictwie.

Nadleśniczy  
inż. A. Grzywacz

Wydawało się, że wszystko jest na dobrej drodze aby poprawić swe warunki życiowe a jednocześnie znaleźć się poza Odernem. Niestety (a może -stety) ostatnie spotkanie Taty z rodzicami spowodowało zmianę decyzji. Rodzice przekonali go aby pozostał w Odernem. Dom rodzinny przez wiele lat stanowił więc jego mieszkanie służbowe jako gajowego leśnictwa w Klimkówce, Ujściu Karpackim, a od 1 sierpnia 1952 r. leśniczego leśnictwa Nowica ale już w nowym nadleśnictwie. Pełna jego nazwa brzmiała: Nadleśnictwo Gładyszów z siedzibą w Uściu Gorlickim w Rzeszowskim Okręgu Lasów Państwowych – Rejonie LP w Jaśle. Ten stan trwał do końca marca 1959 r. Kancelaria Taty mieściła się w małym pokoju, w którym przed wojną dziadek prowadził sklep. Część wyposażenia sklepu (np. lada) stanowiło wyposażenie kuchni.

W kancelarii znajdował się stolik, na nim drewniane liczydło, w kącie wiklinowa etażerka, na której znajdowały się druki kwitariuszy, list płac i innych formularzy. Były na

niej także książki o tematyce leśnej. Z boku etażerki zwisała raportówka, obok stał numerator, klupa i cechówka oraz drewniany „cyrkiel” do mierzenia długości kłoców. Raz w miesiącu Tato pobierał z kasy nadleśnictwa pieniądze na wynagrodzenia pracowników leśnych, które wypłacał w mieszkaniu. W wieku pięci lat posiadałem już umiejętność czytania i sprawnego liczenia dzięki uczestniczeniu w sporządzaniu dokumentacji służbowej Taty i korepetycji starszego kuzyna Jurka Passonia z Gdyni.

Okres zamieszkania w domu rodzinnym Tato wykorzystał na podwyższanie kwalifikacji w zawodzie leśnika. Najpierw otrzymał skierowanie na kurs leśniczych I stopnia w Ośrodku Szkoleniowym Tułowice rozpoczynający się 7 kwietnia 1953 r. O warunkach panujących w ówczesnych ośrodkach doskonalenia kadr niech świadczy fragment skierowania:

Obywatel winien zabrać ze sobą zaświadczenie lekarskie stwierdzające, że nie posiada chorób zakaźnych, przybory do pisania, bieliznę osobistą, przybory toaletowe, koc, poduszkę bieliznę pościelową oraz w miarę możliwości literaturę w danym kierunku.

Rok później, w okresie od 21 kwietnia do 21 maja 1954 r. uczestniczył w kursie doszkalającym z zakresu racjonalizacji i mechanizacji prac w leśnictwie, także w Ośrodku Szkoleniowym w Tułowicach. Ukończył go z wynikiem dobrym. Kolejny kurs dla leśniczych, specjalizujący w hodowli lasu odbył Tato w okresie od 21 października do 21 grudnia 1954 r. Wymagania co do wyposażenia uczestników kursu tym razem wzrosły – pewno ze względu na tematykę zajęć i okres zimowy i tak:

Obyw. winien zabrać ze sobą ubranie robocze, buty nadające się do pracy w terenie, płaszcz, 4 prześcieradła, 2 koce lub kołdrę, 1 poduszkę, 2 powłóczki na poduszkę, 1 parę pantofli nocnych, 3 zmiany bielizny osobistej, przybory do mycia i golenia, świadectwo lekarskie o stanie zdrowia, legitymację służbową, książeczkę ubezpieczeniową, wymeldowanie czasowe do miejscowości, gdzie znajduje się ośrodek szkoleniowy. Wyjechać należy dzień wcześniej tj. 28.X. w godzinach rannych a żadne opóźnienia nie będą brane pod uwagę, a raczej zostaną wyciągnięte konsekwencje służbowe.

Uzupełnił także wykształcenie ogólne uzyskując w roku 1956 zaświadczenie równoważne świadectwu ukończenia klasy VII, szkoły wieczorowej dla pracujących. W leśnictwie Nowica pracował z gajowym Rudolfem Gurbą.



Po tym nieco przydługim wstępie przechodzę do moich doświadczeń osobistych. Osada Oderne niczym nie przypominała typowych dla Łemkowszczyzny „łańcuchówek”. Liczyła w czasie mojego dzieciństwa około trzydziestu gospodarstw i charakteryzowała się specyficzną, rozrzuconą zabudową, brakiem utwardzonej drogi oraz energii elektrycznej. Ten stan trwał zresztą do późnych lat siedemdziesiątych. Dopiero w epoce Gierka pojawiła się sieć energetyczna, a pod koniec lat dziewięćdziesiątych XX w. utwardzona droga. Oczywiście te dobrodziejstwa mnie już nie dotyczyły z racji przebywania w innych regionach kraju. Z okresu przedszkolnego mam we wspomnieniach jedynie kilka epizodów, i co ciekawe związanych pośrednio z egzekwowanym przez rodziców obowiązkiem popołudniowego snu. Ponieważ nie należał on do ulubionych, podejmowałem próby unikania go, a to dałem drapaką przez okno do ulubionej Babci „za potokiem”, a to poszukiwałem źródła tajemniczego światła na Czerwonej Górze. Eskapady te niestety kończyły się nieprzyjemnymi rozmowami z rodzicami.

Mój dom rodzinny zapamiętałem od lat 50-tych. Był to dom drewniany, nowoczesny jak na owe czasy w Odernem, kryty blachą, z zagospodarowanym poddaszem, wybudowany przez dziadka Wincentego przed drugą wojną światową. Na parterze wchodziło się z ganku do sieni ciągnącej się przez całą szerokość budynku. Na lewo od niej znajdowała się duża kuchnia z piecem kaflowym, za nią niewielki pokój, w którym w okresie międzywojennym (a także później w latach 60-tych) mieścił się sklep, na przełomie lat 40-tych i 50-tych kancelaria leśniczego. Tę część zajmowali moi rodzice. Po prawej stronie sieni znajdowały się drzwi prowadzące do małej kuchni dziadków oraz dużego pokoju zajmowanego w czasie II wojny światowej przez księżę: Juliana Śmietanę oraz Teofila Świątka. Po przejściu tego ostatniego do objętej po wojnie nowej parafii w Uściu Gorlickim, pokój ten pełnił funkcje gościnne oraz stanowił lokum wakacyjne dla przyjeżdżających do Babci wnuków z Gdyni, Słupca czy też Jasła. Z sieni

prowadziły schody na poddasze, gdzie znajdowały się dwa pokoiki okupowane przez młodzież – od strony północnej męską, od południowej żeńską. Okno południowe wychodziło na przydomowy sad, po przekroczeniu jego parapetu można było przebywać na balkonie, z którego sprawialiśmy śmigusa-dyngusa w lany poniedziałek gościom wracającym z kościoła.



*Na pierwszym planie stary dom zakupiony przez dziadków przed pierwszą wojną światową, za nim widoczny kawałek dachu domu wybudowanego przez dziadka w latach 30-tych. Przed domem rodzina – dziadek Wincenty w kamizelce, obok babcia Magdalena, autor w spodenkach ze skrzyżowanymi szelkami przy Mamie – rok 1953 (fot. ze zbiorów autora)*



*Widok rodzinnego domu od strony południowej (fot. ze zbiorów autora)*

W domu tym znajdował się wyjątkowy jak na owe czasy i okoliczności sanitariat, czyli... przydomowe WC. Nie musieliśmy, jak inni gospodarze wychodzić na dwór „za potrzebą” co zwłaszcza porą nocną i przy silnych mrozach stanowiło pewien problem. Ten sanitariat, do którego wchodziło się bezpośrednio z sieni stanowił powód nie zawsze przyjemnych uwag ze strony sąsiadów: „Patrzcie, u Baniaka to nawet sr...ą w chałupie...”.

Stary dom zapamiętałem już jako budynek gospodarczy po adaptacji na ten cel w latach 50-tych. Wcześniej przez kilka lat zamieszkiwali w nim młodzi małżonkowie – siostrzenica Wincentego Julia Sztaba (Górska) z mężem Franciszkiem. Po adaptacji w budynku tym mieściła się drewnutnia, w środkowej części wozownia, część prawa służyła do składowania siana, słomy lub snopów zboża przed omłotami.

W latach 40-tych XX w. zbudowany został budynek gospodarczy zamykający siedlisko od strony północnej. W środkowej jego części ulokowana została stajnia – pewno ze względu na warunki termiczne (najcieplejsza część budynku), w której pamiętam krowy – najstarszą Malinę i nieco młodsze: Łanię i Różanę. Zwykle także jakieś cielątka. Przy ścianie zewnętrznej było stanowisko konia – Maćka, który chętnie spoglądał na podwórko przez maleńkie okienko. Przez środek stajni przebiegał rynsztok,

odprowadzający odchody zwierząt na zewnątrz na gnojownik. Po lewej stronie były chlewy dla świnek, klatki królików oraz grzędy dla kur.



*Obora wraz z wejściem do pracowni dziadka – początek lat 50-tych (fot. ze zbiorów autora)*



*Po niedzielnym obiedzie w sadzie pod gruszą (w centrum dziadkowie) – początek lat 60-tych  
(fot. ze zbiorów autora)*

Od strony wschodniej znajdował się warsztat dziadka, od zachodniej (w bezpośrednim sąsiedztwie stajni) boisko zamknięte od góry deskami stanowiącymi tzw. pięterko. Dalej ostatnia część budynku, którą była stodoła przeznaczona na siano lub słomę. Od północy wzdłuż stodoły znajdowało się niewielkie pomieszczenie techniczne



(maszynownia), w którym znajdował się silnik gospodarczy-benzynowy „deutz” o mocy pewno kilku koni mechanicznych. Był to silnik jednocylindrowy z poziomym ułożeniem cylindra, w dolnej jego części widoczne były dźwignie i sprężyny zaworowe. Chłodzony był cieczą opływającą w płaszczu wodnym cylinder silnika. Ze względu na brak dodatkowych elementów charakterystycznych dla tego typu maszyn współczesnych jak chłodnica czy też pompa wodna, wymagał stałej obsługi. Po napełnieniu tego prymitywnego układu chłodzenia wodą należało po jej nagrzaniu otworzyć zawór spustowy w dolnej części silnika aby wypuścić część wody gorącej i uzupełnić jej ilość wodą zimną. Moja rola polegała więc na „przelewaniu” silnika wodą zimną w takim tempie, aby nie dopuścić do nadmiernego wzrostu jego temperatury. Silnik ten napędzał stojące na boisku żarna do mielenia mąki, a także maszynę omłotową w czasie żniw. Jesienią wykorzystywany był najczęściej do napędu piły tarczowej służącej do rżnięcia drewna na zimę.

W latach 50-tych używano do młocki cepów ale tylko w celu pozyskania prostej słomy żytniej na powrósła do wiązania snopów owsa i jęczmienia. Głównie młócono zboże za pomocą dość prostej maszyny zawierającej obrotowy bęben zaopatrzony w kolce metalowe oraz nieruchomy element (stojan) także wyposażony w kolce. Podczas pracy maszyny elementy te młóciły kłosa zboża wyrzucając z maszyny mieszaninę ziaren, plew, zmietoszonej słomy i traw. Cykl omłotowy wymagał więc dodatkowych czynności wykonywanych ręcznie przez żniwiarzy, którzy ustawieni za maszyną za pomocą drewnianych, dwuzębnych wideł wytrzepywali ze słomy ziarno z plewami. Ten półprodukt poddawany był kolejnej operacji czyszczącej w tzw. młynku do zboża, czy po prostu wialni. Urządzenie to napędzane ręcznie za pomocą korby, zawierało turbinę, która wydmuchiwała lżejsze frakcje – plewy i resztki słomy za młynek, cięższe ziarna zboża za pomocą sita o odpowiedniej wielkości oczek odprowadzane były przez przedni zsyp na ziemię. Z boku wialni wysypywały się jeszcze mniejsze nasiona traw. Słoma po omłotach wykorzystywana była na paszę najczęściej w postaci siewki uzyskiwanej za pomocą jeszcze innego urządzenia, siewkarni, także napędzanego ręcznie lub jako ściółka dla zwierząt w oborze.

Niezwykle ważnymi osobami w naszym domu byli dziadkowie: Wincenty i Magdalena z Opiców (Opitz – nazwisko pierwotne, spolszczone do postaci fonetycznej Opic), rodzice Taty. Zajmowali oni „drugi koniec” domu czyli kuchenkę i największy pokój od strony południowej. Odkąd pamiętam zawsze opiekowali się miejscową kaplicą.

Dziadek Wincenty przejął klucze do niej po śmierci pradziadka Jana i już od 1936 r. pełnił funkcję kościelnego, opiekuna kaplicy ale także inicjował i prowadził w niej niektóre nabożeństwa, np. różaniec, drogę krzyżową, wieczorne nabożeństwa majowe i czerwcowe. Do jego obowiązków, w których dzielnie wspierała go Babcia Magdalena, należało także przygotowywanie flakonów na kwiaty, wyrób świec oraz wypiekanie opłatków przed Bożym Narodzeniem. Przy pracach tych chętnie uczestniczyliśmy jako dzieci robiąc pewno więcej szkody niż pożytku. „Flakony” na kwiaty polne i z ogrodu Magdaleny wykonywane były z różnobarwnych butelek. Za pomocą rozgrzanego w kuchennym piecu pogrzebacza rozgrzewało się szkło butelki w okolicy szyjki. Po włożeniu do zimnej wody, ze względu na różnice temperatur, szyjka ze zbędnym kawałkiem szkła odpadała pozostawiając w miarę równą, ale jednocześnie dość ostrą krawędź, która była nieco tępiona za pomocą kamienia. Bardziej skomplikowana była produkcja świec. Dziadek Wincenty zbierał ogarki świeczek i kaganków zużytych w kaplicy i na cmentarzu, topił je w dużym garnku, usuwał resztki knotów i zanieczyszczenia, a następnie dodawał wosk pszczeli. Lekko ostudzoną, plastyczną masę formował na stolnicy w długie wałki, rozcinał je wzdłuż i w środku umieszczał nowy knot. Po zlepieniu połówek takie świece znów służyły na ołtarzu w naszej kaplicy.

Na początku grudnia Dziadek przygotowywał opłatki. Wypiekał je w kuchennym, piecu w metalowym urządzeniu przypominającym kowalskie obcęgi z szerokimi szczękami. Owe szczęki stanowiły dwustronną formę do wypieku. Proces ten przypominał nieco obecne wypiekanie gofrów w gofrownicy. Po nagraniu formy „smarowana” była ona przygotowanym ciastem pszennym, następnie na krótko wsuwana do pieca. Bardzo lubiliśmy jeść uszkodzone opłatki i ścinki upieczonego w ten sposób ciasta wyciekającego z formy. Następnie opłatki były równiutko obcinane i pakowane za pomocą okolicznościowych opasek otrzymywanych od księdza i roznoszone przez Dziadka do oderniańskich gospodarzy.

Szczególnym wydarzeniem w naszym domu był co roku wieczór 5 grudnia, kiedy to w wigilię Św. Mikołaja oczekiwaliśmy niecierpliwie (ale też z nieukrywanym przerażeniem) na jego wizytę. Najgorszy moment następował wieczorem, wówczas Mama szła doić krowy, a my z młodszą siostrą Marysią niemal modliliśmy się aby wizyta Mikołaja nastąpiła dopiero po jej powrocie do izby. Św. Mikołaj wkraczał w dostojnym orszaku – towarzyszył mu piękny Anioł i niesforny Diabeł. Mikołaj był ubrany w biskupie szaty i prawdziwą biskupią mitrę, nie czerwoną czapeczkę krasnala z pomponem.

Towarzyszył mu Anioł w białej sukni z pięknymi, białymi skrzydłami i długimi lokami czarnych włosów, na końcu Diabeł w czarnym stroju, z czerwonymi rogami, buszujący po pokoju z widłami i zaczepiający wszystkich. Starsi doskonale wiedzieli, że za przebraniem ukrywają się sąsiedzi: Mikołaj to stryj Ignacy z za góry, Anioł to jego córka – ciocia Hela, a rozrabiający diabeł to wuj Michał. Niestety (albo –stety) tę wiedzę posiadaliśmy znacznie później. Św. Mikołaj tradycyjnie pytał o sprawowanie w ostatnim roku, przeprowadzał maleńki egzamin z wiedzy religijnej, po czym wręczał prezenty. Kiedy byliśmy nieco starsi, Mikołaj odwiedzał nas już tylko podczas snu – rankiem 6 grudnia najczęściej spod poduszek wyciągaliśmy niespodzianki: gry planszowe, pistolet na kapiszony, plastelinę i trochę słodyczy. Na początku lat 60-tych, kiedy starszy brat Kazik przebywał w internacie w Jaśle przywiózł na święta najprawdziwsze, elektryczne oświetlenie choinkowe... choć w Odernem przecież nie było prądu! Próby jego wykorzystania przy zasilaniu z baterii prądu stałego zakończyły się fiaskiem, gdyż lampki zasilane były za pomocą transformatora.

Edukację w szkole podstawowej rozpocząłem po skończeniu 7 lat. Był to rok 1956. Czteroklasowa szkoła miała jedną izbę lekcyjną i jednego nauczyciela. Pan Stanisław (bo tak miał na imię nasz Pedagog, pełniący ponadto wszelakie inne funkcje kierownicze, administracyjne i porządkowe) miał zwyczaj wchodzić do klasy, zadać zajęcia w obydwu rzędach ławek (nauka bowiem odbywała się w systemie klas łączonych – I + II i III + IV) by następnie udać się do innych prac na lub poza terenem szkoły. Pojawiał się ponownie na zakończenie zajęć i przeprowadzał rekapitulację materiału nauczania. Czasem pozostawał w klasie i opowiadał nam w sposób przystępny o pięknym świecie, o którym wówczas nie mogliśmy mieć pojęcia. Utkwiła mi w pamięci lekcja o morzu i statkach tak potężnych, iż spowodowana np. w wyniku kolizji dziura w burcie o średnicy dużej balii na wodę (ponad 1 m) nie stanowiła dla niego i jego załogi poważniejszego zagrożenia. Żona pana Stanisława, Maria, także włączała się w proces dydaktyczno-wychowawczy. Uczyła nas tańców ludowych i piosenek, reżyserowała programy artystyczne przedstawiane później przed społecznością wiejską przy okazji uroczystości szkolnych i świąt państwowych. Dodać należy, iż nie była oficjalnie pracownikiem szkoły i czyniła to absolutnie społecznie.

Mój pobyt w pierwszym rzędzie ławek trwał tylko dwa tygodnie, ponieważ po ich upływie, pewno za zgodą władz kuratorskich, zostałem awansowany do rzędu drugiego czyli do następnej klasy. Po pierwszym roku nauki otrzymałem więc promocję do klasy

trzeciej. Świadectwo niosłem z radością do domu, nie zważając na padający deszcz, czego konsekwencją są widoczne do tej pory ślady rozmazanego atramentu.

W naszej szkole, podobnie jak w całej osadzie nie było energii elektrycznej, a więc tym samym wyposażenie szkoły w techniczne środki nauczania było więcej niż skromne. Po zakupie przez Pana Kierownika ręcznej szlifierki przez pewien czas na „robotach ręcznych” wykonywaliśmy ze zużytych kos ostrza nożyków, do których dorabialiśmy z tekstolitu zmyślne uchwyty. Następnie ok. roku 1957 pan Stanisław Gawron zakupił do szkoły rzutnik przeźroczy „Bajka”, którego konstrukcja, a zasadniczo układ elektryczny umożliwiały zasilanie żarówki projekcyjnej z akumulatora motocyklowego. Zasilacz złożony z transformatora obniżającego napięcie sieciowe 220 V do poziomu 6 V ze względu na zastosowaną żarówkę 6V/20W mógł zostać zastąpiony źródłem napięcia stałego o wartości 6 V. W naszych warunkach zastosowany został do tego celu akumulator motocyklowy pana Stanisława, który jednak ze względu na ograniczoną pojemność elektryczną przy znacznym poborze prądu (ponad 3 ampery!) musiał być często doładowywany. Nasz Nauczyciel angażując swój prywatny czas i pieniądze woził go do Uścia Gorlickiego gdzie był on doładowany i nadal przez godzinę lub dwie mógł pełnić swoją rolę. Oglądaliśmy bajki ale także kolorowe slajdy przywożone przez naszego katechetę, miejscowego proboszcza ks. mgr Józefa Toporka, przedstawiające niewyobrażalne dla nas nowojorskie drapacze chmur. Dodać należy, iż w owym czasie polna droga do Uścia wyglądała zgoła inaczej niż obecnie; w zależności od pogody jeżyły się na niej duże kamienie, bądź głębokie, błotniste kałuże. Miejsca szczególnie grząskie wykładane były poprzecznie drewnianymi okrągłakami tworzącymi tzw. „dylowankę”. „Komfort” jazdy po takiej drodze zwłaszcza na drewnianym wozie (łącznie z kołami okutymi żelaznymi obręczami – rafami) był oczywisty.

Podczas pierwszego etapu edukacji pojawiły się u mnie już wyraźnie sprecyzowane zainteresowania. W naszej szkole na parapetach okien rozłożone były różnorakie pomoce dydaktyczne – pudełka z okazami skał, elementy naczyń laboratoryjnych. Moją uwagę przykuwała jednak inna pomoc: piękna, szklana żarówka znacznej mocy (sądząc po jej wymiarach). Z perspektywy czasu nie jestem w stanie określić czy była ona sprawna, czy też przepalona – nie znałem bowiem wówczas ani zasady jej działania, ani też nie widziałem jej w akcji. W rodzinnym domu od początku mojej świadomej bytności do chwili wyprowadzki posługiwaliśmy się lampami naftowymi wynalazku Ignacego Łukasiewicza. Paliwo do nich kupowało się w odległym o 3 km

Uściu Gorlickim, w jedynym sklepie spożywczo-przemysłowym i w litrowej butelce, na sznurku przetkniętym patykiem, przynosiło do domu.

Mój Dziadek Wincenty był kołodziejem – wykonywał w swoim warsztacie wozy na drewnianych kołach, klientami byli sąsiedzi oraz mieszkańcy sąsiednich wiosek. Mieszkaliśmy w rodzinnym domu wraz z Dziadkiem Wincentym i Babcią Magdaleną więc od wczesnych lat towarzyszyłem mu w pracy. Zimą przy niskich temperaturach paliłem w piecu warsztatowym, co dawało także możliwość pieczenia talarków ziemniaczanych na jego blasze. Brak prądu elektrycznego powodował, iż wszelkie prace wykonywane były ręcznie. Dziadek mozolnie, piłą ramową wycinał z kawałków wysezonowanego drewna tzw. „dzwona” stanowiące po montażu okrąg koła, strugał szprychy, które następnie osadzał z dużą precyzją w wytoczonej uprzednio piaście zwanej przez dziadka „głową”. Szczególnie ciekawym urządzeniem była tokarnia, na której toczona była owa głowa. Przypominała ona pod względem napędu nożną maszynę do szycia. Długi pedał, napędzający za pomocą korbowodu i mimośrodowo potężne, drewniane koło zamachowe, z którego paski ze skóry przekazywały napęd na wrzeciono tokarni, wymagał dużej siły nacisku. Praca w dziadkowym warsztacie była bardzo ciężka. Ponadto w warsztacie znajdowały się jeszcze trzy urządzenia, które zaliczyłbym do kategorii „ciężkich”; a to drewniany stół warsztatowy wyposażony w drewniane zaciski do podtrzymywania obrabianych elementów, co ciekawe uruchamiane za pomocą też drewnianych śrub (!), ława z zaciskiem nożnym zwana „dziadem” a także potężny kamień obracający się częściowo zanurzony w wodzie, służący do ostrzenia narzędzi zwany „brusem”. Oprócz tych maszyn z napędem ręcznym lub nożnym w warsztacie znajdowało się mnóstwo pomniejszych narzędzi służących do wiercenia (świdry, „bormaszyny”, „borki” czyli wiertła), do strugania (heble, spusty, ośniki, dłutka) czy też piłowania (piły ramowe i rozplątnice).

Oprócz wozów konnych dziadek wykonywał wszelkie, drobniejsze narzędzia jak bronie, grabie, plótl koszyki z wikliny i sporządzał miotły tzw. „szkrabaki” z witek brzoźowych. W zimie jeździliśmy na nartach wykonanych przez dziadka, latem zjeżdżaliśmy z górki na rowerze wykonanym przez niego całkowicie z drewna, w domu bawiliśmy się zmyślnymi „bąkami” też dziadkowej produkcji. Starsi bracia wykonali duży, drewniany model samolotu na kołach, którego rozmiary umożliwiały zjeżdżanie z okolicznych górki.

Moim ulubionym zajęciem było wyrzynanie z deski kształtów pistoletów, których lufy nacinałem tworząc pewnego rodzaju fugę, w której umieszczałem odpowiednio wyprofilowaną „strzałkę”. Do napędu używałem gumy wycinanej np. ze zużytych gumowców, która po zwolnieniu z zaczepu wyrzucała pocisk na znaczną odległość. W późniejszym czasie „broń” ta była znacznie usprawniana – do łoża montowało się „prawdziwą” lufę wykonaną z wydrążonego odcinka pędu dzikiego bzu, a po odpowiednim dostosowaniu napędu można było z niej strzelać np. grochem. Arsenał mój ponadto składał się z łuków wykonywanych z leszczyny.

Babcia Magdalena była osobą wyjątkowo religijną, porządek dnia od najmłodszych lat postrzegam jako ciąg różnych zdarzeń związanych z wiarą katolicką; od porannego pacierza i wspólnej pieśni „Kiedy ranne..” do pacierza wieczornego i pieśni „Wszystkie nasze dzienne sprawy...”. Oboje z dziadkiem z dużą surowością egzekwowali obowiązek aktywnego uczestniczenia w niedzielnej mszy świętej jak też wszelkich „domowych” nabożeństwach (nieszpory, godzinki, przy tym litanie i inne) i zachowywania postów. Oczywistym więc jest fakt, że często odczuwaliśmy przesyt tego religijnego ponad miarę wychowania. Odskoknią była druga Babcia „za potokiem”. Emilia Motyka była skromną osobą, w odróżnieniu od Babci Magdaleny nie umiała czytać ani pisać ale znakomicie wyczuwała nasze tęsknoty do rozrywek. Kiedy rodzice wyjeżdżali z domu prosiliśmy o „opiekę babci Emili”. Wówczas zamiast nużących już nas modłów królowała „ciuciubabka” i zabawa w chowanego. Uwielbialiśmy te nasze, wspólne wieczory. Kiedy babcia była już nieco znużona naszymi swawolami siadała w kąciku i śpiewała najczęściej dość smutną piosenkę o „fabrycznej dziewczynie”.

Ulubionym okresem w roku były święta Bożego Narodzenia. W Wigilię wczesnym rankiem zrywałem się i pędziłem przez potok do Babci Emilii z życzeniami:

Na szczęście na zdrowie na tą świętą Wiliję  
Żeby się wam darzyło, mnożyło wszelkie stworzenie!  
Żebyście byli weseli jak w Niebie Anieli,  
Żebyście mieli wszystko co potrzeba,  
A po śmierci hop!!! Do Nieba!!!

Babcia sięgała wówczas do metalowej puszkę wiszącej na ścianie obok okna skąd wyjmowała brzęczące pieniążki i wręczała mi „za kolędę”. W sieni domu Babci Emilii

stały małe żarna, na których często mełliśmy niewielkie ilości zboża na chleb – Babcia specjalizowała się bowiem w wypieku chleba na liściu kapusty lub chleba z czarnuszką.

Jeszcze w latach 70-tych wywijaliśmy oberki z Babcią Emilią w leśniczówce Rodziców w Ropicy Górnej – szczególnie obtańcowywała swoje przybrane wnuki jak nazywała Irenę i Stasia Rakoczego. Odeszła od nas w czerwcu 1988 roku. Dziadek Stanisław miał czarną fryzurę i długie, czarne brwi, które pewno po nim odziedziczyłem. Brał udział w I wojnie światowej na froncie włoskim, gdzie został ranny. Po wyleczeniu wrócił pieszo z Italii do Odernego. Wojenna rana jednak nie została zupełnie wyleczona. Dziadek Stanisław był stolarzem – wykonywał głównie stolarkę budowlaną, ale też trumny, w których zmarli mieszkańcy Odernego chowani byli na miejscowym cmentarzu. Wykonał także ramę drewnianą do obrazu patrona kaplicy w Odernem św. Stanisława ze Szczepanowa. Zmarł 30 czerwca 1970 r. w Odernem.

W tym wczesnoszkolnym okresie, pod koniec lat 50-tych po raz pierwszy miałem okazję zobaczyć film w prawdziwym, objazdowym kinie w Uściu. Ruchome obrazy zrobiły na mnie ogromne wrażenie – do tej pory pamiętam tytuł filmu „Złota antylopa” i widzę w wyobraźni scenę, w której tytułowa bohaterka wbiega po schodach, a spod kopyt sypią się złote talary.

Moja edukacja w opisywanej powyżej szkole nie trwała długo – w miesiącu marcu 1959 r. po naradzie rodzinnej zostałem wyekspediowany do internatu dla dzieci leśników organizowanego właśnie w odległym o 60 km Jaśle. Tutaj już zagościł nieco wcześniej mój brat Kazimierz kończący naukę w tamtejszym Liceum Ogólnokształcącym im. Króla Stanisława Leszczyńskiego. Ja podjąłem naukę w kl. IVa Szkoły Podstawowej nr 3. Jako przybysz z odległego i dość egzotycznego świata spotkałem w pierwszym okresie różne dziwne sytuacje; a to zadzwonił dzwonek na lekcję, przyszedł nauczyciel i przez całe 45 minut pozostawał w klasie! Coś niesamowitego, a klasa liczyła cztery razy więcej uczniów aniżeli nasza cała szkoła w Odernem.

Mimo ogromnego skoku cywilizacyjnego (o energii elektrycznej, asfaltowych drogach, autobusach i Kinie Syrena nie wspomnę) otrzymałem świadectwo promocyjne do klasy piątej z jedną tylko oceną dobrą (prace ręczne) i piątkami z pozostałych przedmiotów. Szczytem szczęścia była nagroda książkowa „Księga puszczy szlakiem czarnego zwierza” z dedykacją Towarzystwa Przyjaciół Dzieci.

W klasie następnej byłem już bardzo „doświadczonym” mieszkańcem internatu (czasem aż za bardzo). Aby poprawić wyniki z prac ręcznych, za zgodą starszego brata i przy jego wydatnej pomocy zapisałem się do pracowni modelarskiej funkcjonującej w podziemiach budynku LO. Praca ta bardzo mnie pasjonowała – wykonałem trzy modele szybowców, w tym słynną „jaskółkę” lecz na „bociana” brakło mi już czasu. W marcu 1960 r. zachorowałem i wprost ze szpitala dziecięcego Rodzice zabrali mnie do rodzinnego domu w Odernem. Naukę w klasie V, VI i VII kontynuowałem w siedmioklasowej szkole w Uściu Gorlickim.

Ze względu na brak dróg bitych do szkoły w Uściu chodziliśmy miedzami pomiędzy zagonami Stanisława i Katarzyny Matalów oraz Ignacego i Stanisławy Baniaków, następnie przez kulminację Kamiennego Horbka i łąkami w dół w kierunku rzeki Ropy. Przekraczaliśmy ją po długiej, drewnianej ławie o dość skomplikowanej konstrukcji w okolicach stadionu sportowego a następnie drogą obok domów p. Matuszyków i Cenkrów do centrum Uścia. Obok skrzyżowania dróg stała słynna gospoda „Pod Twardowskim” – przedwojenna własność Humeckich. Dzisiaj po ścieżce między polami, przez las nie ma już śladu. Zarośla wcisnęły się także na łąki, po których zbiegaliśmy w kierunku rzeki a po ławie przez Ropę nie ma nawet kawałka belki. Także, w związku z budową ronda w centrum Uścia zniknęła zabytkowa karczma Humeckich. Przez kilka lat stos elementów drewnianych z jej rozbiórki dawał nadzieję, podobnie jak władze gminne, na odbudowę tego zabytkowego domu w nowym miejscu. Niestety, belki pamiętające nieproszone wizyty wojsk austriackich i rosyjskich na przemian w czasie Wielkiej Wojny znikły, a wraz z nimi nadzieja na odbudowę tej zabytkowej karczmy.

Zainteresowanie modelarstwem lotniczym a dalej lotnictwem spowodowało, iż z grupą kolegów postanowiliśmy zbudować szybowiec, na którym po starcie spod szczytu Kamiennego Horbka nad Uściem Gorlickim przelecimy nad rzeką Ropą i wylądujemy w okolicach stadionu sportowego. Sporządziłem stosowne plany, wykonałem papierową makietę w naturalnej wielkości i mieliśmy przystąpić do jego budowy. Podzieliłem pracę i wówczas starszy brat naszego kolegi Władka – Leon dał nam do zrozumienia, iż do tak wielkiego przedsięwzięcia jeszcze nie dorośliśmy. Marzenia o lataniu przysły.

W tym okresie mogłem bez większych przeszkód zajmować się interesującymi mnie także zagadnieniami elektryczności. Elektronika w owym czasie reprezentowana była w domu moich rodziców przez nieśmiertelnego Pioniera B2, następnie – Juhasa



z nowszymi typami lamp. Urządzenia te były jednak dla mnie niedostępne po tym, jak podłączając zasilanie pomyliłem (a może chciałem przeprowadzić eksperyment – nie pamiętam) ogniwo żarzenia z baterią anodową. Krótki, aczkolwiek wyraźny błysk w tylnej części obudowy radia stanowił przyczynę bólu pewnej części ciała w późniejszym okresie i zakaz jakichkolwiek operacji przy odbiorniku.

W pracach eksperymentalnych wykorzystywałem zakupywane przez rodziców żarówki miniaturowe oraz baterie płaskie. Przeprowadzałem elektrolizę różnych cieczy przewodzących, budowałem mikrofony węglowe, później także proste układy telefoniczne. Ogromną pomocą w tych działaniach było ukazujące się w tym czasie czasopismo „Horyzonty Techniki dla Dzieci”. Muszę dodać, iż pierwszym moim instruktorem i osobą zachęcająco do korzystania z tego czasopisma był mój Nauczyciel fizyki – jednocześnie Kierownik szkoły pan Feliks Stasiowski. „Horyzonty Techniki dla Dzieci” prezentowały wówczas niezwykle ciekawie wiedzę techniczną w sposób praktyczny. Rysunki w nich zawarte mobilizowały wprost do wykonywania opisywanych urządzeń z różnych dziedzin. Nie jestem w stanie przecenić roli jaką odegrało to czasopismo w rozwoju mojej świadomości i umiejętności technicznych.

Pisząc co nieco o nauce w szkole podstawowej w Uściu Gorlickim nie sposób nie wspomnieć mojej wspaniałej Wychowawczyni i Nauczycielki matematyki pani Czesławy Passoń. Ona to w sposób matczyny czuwała nad moim zachowaniem i postępami w nauce nie stosując jednak żadnej taryfy ulgowej na lekcjach matematyki, czego efektem był późniejszy absolutny brak problemów z tym przedmiotem w szkole średniej i podczas studiów wyższych.

## **SZKOŁA ŚREDNIA (1962-1968)**

Wiosną roku 1962, za namową rodziców i nauczycieli wraz z dwiema koleżankami Barbarą i Krystyną, zdecydowałem się podjąć naukę w Liceum Pedagogicznym w Gorlicach. Szkoła ta, kształcąca przez wiele lat wspaniałych pedagogów, przed egzaminem wstępnym przeprowadzała już w miesiącu maju konsultacje z kandydatami mające na celu wykazanie ich przydatności do zawodu – umiejętności muzycznych (badanie słuchu muzycznego) a także umiejętności manualnych i wiedzy technicznej. Moje zdolności muzyczne, mimo przechodzonej aktualnie mutacji głosu, zostały ocenione pozytywnie (podobnie jak wiedza dotycząca wykonania noża introligatorskiego z kosy)

i po zdaniu egzaminu wstępnego zostałem uczniem LP. Do dzisiaj pamiętam, iż zadanie z matematyki na egzaminie pisemnym dotyczyło między innymi obliczenia objętości kopy siana w formie stożka. Czyniłem to z dokładnością do kilku miejsc po przecinku, co spowodowało u nadzorującego profesora Kazimierza Szydło poważne wątpliwości czy uda mi się z tego gąszczu cyfr jakoś wysublimować poprawny wynik. Było jednak dobrze. Na egzaminie ustnym polecono mi podać sposób obliczenia pola figury zawartej pomiędzy kwadratem a kołem weń wpisanym. Stres spowodowany pewno nowymi okolicznościami spowodował chwilową pustkę w głowie, lecz rada egzaminatora, aby ową sytuację przedstawić na rysunku natychmiast całą rzecz wyjaśniła. Niestety koleżanki miały mniej szczęścia. Zdały pozytywnie egzamin wstępny, lecz ze względu na dużą ilość kandydatów nie zostały przyjęte. Kontynuowały naukę w innych szkołach; Barbara jest pielęgniarką, Krystyna zaś po ukończeniu LPWP w Jaśle została nauczycielką przedszkola.

Duża odległość szkoły od miejsca zamieszkania (ok. 30 km) i brak dogodnych warunków komunikacyjnych sprawiły, iż zostałem na okres nauki zakwaterowany w internacie męskim przy ul. Jagiełły w Gorlicach. Warunki pobytu były bardzo surowe. Spaliśmy na piętrowych, żelaznych łóżkach typu wojskowego, pomieszczenia ogrzewane były piecami kaflowymi, łazienka posiadała wyłącznie zimną wodę. W głównym holu, gdzie odbywały się codzienne apele znajdował się trzon kuchenny, na którym, w ogromnym garze uczniowie dyżurni grzali wodę do celów higienicznych. Wszelkie prace obsługowe i porządkowe wykonywaliśmy osobiście pod wodzą szefa samorządu internatu zwanego Seniozem. Wyposażenie internatu w urządzenia techniczne było niezwykle ubogie jedynymi środkami audio były głośniki radiowęzłowe funkcjonujące prawidłowo nie we wszystkich salach i nie zawsze. Nasza inwencja w zakresie zastępowania uszkodzonych głośników innymi przetwornikami elektro-akustycznymi (np. słuchawkami) była dość duża, ale rodziła niebezpieczeństwo niezbyt miłych kontaktów z pracownikami gorlickiego radiowęzła, dla których byliśmy „radiopajęczarzami”. Dopiero pod koniec mojego pobytu w internacie, ok. 1967 r. w holu pojawił się telewizor „Lazuryt”, dzięki czemu mogliśmy już bez przeszkód oglądać serial pt. „Belfegor czyli upiór Luwru”.

Na lekcje, naukę własną oraz posiłki chodziliśmy zwartą grupą (dwójkami) do budynku liceum mieszczącego się przy ul. Niepodległości 5. Tam też spędzaliśmy cały dzień: Rano wyjście na śniadanie, lekcje do godz. 14:00 lub 15:00, obiad, czas wolny do 16:00, potem do godz. 20:00 obowiązkowa nauka własna pod okiem nauczyciela

dyżurującego, z przerwą na kolację. W przypadku choroby delikwent pozostawał w internacie, a dyżurni przynosili mu posiłki w menażkach. W drodze do szkoły i z powrotem oraz o każdej porze dnia ucznia obowiązywał określony strój; garnitur granatowy kroju mundurowego z czerwonymi lampasami spodni oraz przy mankietach marynarki, a także „studencka” czapka z twardym daszkiem stanowiąca powód do dumy w wiejskim środowisku podczas niedzielnych pobytów w domu (tzw. wyjazdówek). Do rękawa marynarki w sposób trwały mocowana była tarcza szkolna z emblematem LP. Trwałość owego połączenia sprawdzała codziennie w czasie porannych apeli pani Wygrzywalska – kierowniczka internatu – tarcza musiała być dokładnie po obwodzie obszyta szwem ciągłym – szpilka, agrafka lub punktowe mocowanie na rogach absolutnie nie było akceptowane. Posiadacz niewłaściwie umocowanej tarczy musiał w trybie pilnym to poprawiać.

W planie nauczania 5-letniego liceum pedagogicznego uwzględniono wszelką wiedzę i umiejętności niezbędne nie tylko do efektywnego prowadzenia lekcji z dowolnego przedmiotu nauczania szkoły podstawowej, ale także do działalności pozalekcyjnej i pozaszkolnej szczególnie w środowisku wiejskim. Oprócz typowych przedmiotów ogólnokształcących występowały przedmioty zawodowe (pedagogika, psychologia, historia wychowania oraz metodyki nauczania wszystkich przedmiotów łącznie ze śpiewem oraz wychowaniem fizycznym), także gra na instrumencie, chór, zajęcia praktyczne z gospodarstwa domowego oraz obowiązkowy, wakacyjny obóz metodyczny wychowania fizycznego. Ponadto uczniowie zapoznawani byli z zasadami prowadzenia spółdzielczości uczniowskiej (kurs księgowości). Szczególną zaletą programu kształcenia przyszłych nauczycieli była duża liczba godzin ćwiczeń praktycznych początkowo w swojej klasie, następnie w szkole ćwiczeń, na koloniach i obozach (w czasie wakacji po trzecim roku nauki) i na końcu samodzielne – miesięczne praktyki w szkołach różnych typów. Absolwenci Liceum Pedagogicznego, mimo młodego wieku, byli więc doskonale przygotowani do zawodu. Podejmowali pracę w różnych szkołach podstawowych, niejednokrotnie ucząc wszystkich przedmiotów występujących w programach nauczania tych szkół z dużym sukcesem. Byli poszukiwanymi kandydatami do pracy szczególnie w małych szkołach, gdzie absolwenci WSP czy SN z wąskimi specjalnościami nie sprawdzali się.

Rozpoczynając naukę w szkole średniej po raz pierwszy zetknąłem się z telewizją – w jednej z klas stała duża, drewniana skrzynia na wysokich nóżkach, zamknięta na

klucz, wewnątrz której stał odbiornik telewizyjny „Orion”. Fascynowała mnie w nim duża ilość różnorodnych pokręteł, które służyły między innymi do opanowania przewracającego się na boki lub jadącego w górę i dół obrazu. Muszę się pochwalić, że po kilku tygodniach opanowałem bezbłędnie ową sztukę co pozwalało mi na pełnienie funkcji „operatora” i niejednokrotnie ratowało przed ewentualnymi konsekwencjami braku przygotowania do lekcji. W późniejszym okresie w zakres moich prac „operatorskich” weszły naprawy uszkodzeń instalacji elektrycznej, obsługi projektora filmowego oraz, co było szczególnie ważne, napraw maszyny do mielenia mięsa zwanej „wilkiem” w szkolnej stołówce. Ta ostatnia funkcja nie tylko dawała możliwość nieobecności usprawiedliwionej na niektórych „nudnych” zajęciach ale procentowała ponadnormatywnymi kotletami w czasie podawania obiadu.

W okresie pobytu w internacie i pobierania nauki w LP miałem możliwość rozwijania swoich zainteresowań technicznych. Uczestniczyłem w pracy koła fotograficznego, prowadziłem koło techniczne, którego głównym zajęciem było naprawianie głośników radiowęzłowych, w tym mozolne przewijanie transformatorów najczęściej ulegających uszkodzeniom. Na zajęciach w Domu Harcerza wykonywaliśmy pod kierunkiem pana inż. Kurzawy oświetlenia choinkowe zbudowane z tanich i ogólnie dostępnych żarówek 2,5V lub 3,5V/0,2A łączonych szeregowo z żarówką oświetleniową 40W/220V i inne prace elektrotechniczne. Wówczas także byłem świadkiem ciekawego wydarzenia. Do Domu Harcerza przekazano bowiem darowiznę p. Wężyka z Uścia Gorlickiego, który w latach przedwojennych i w czasie wojny był leśniczym w ówczesnym Uściu Ruskim. Była to skrzynia okazałych rozmiarów zawierająca ogromną liczbę drobnych elementów drewnianych stanowiących podobno części wykonanego przez darczyńcę, potężnego świecznika. Niestety nie znam dalszych losów owej konstrukcji.

Krótkofalarstwo, które potem zdominowało moje zainteresowania, docierało dopiero do mnie w mglistych zarysach – nie znałem krótkofalowców. W Gorlicach działał wówczas co prawda klub SP9PEE, o którym jednak nie miałem pojęcia. Dotarła jednak do mnie drogą radiową przedłużaną następnie przewodowo przez lokalny radiowęzeł gorlicki informacja o organizowanym przez Polski Związek Krótkofalowców korespondencyjnym kursie przygotowującym do egzaminu na świadectwo uzdolnienia. Było to około 1965 r. Zbagatelizowałem radiowe informacje i dopiero w wakacje, w rodzinnej wiosce, Odernem, spotkałem koleżankę, która właśnie zapisała się na kurs. Waćka, bo tak miała na imię, zmobilizowała mnie do zgłoszenia się na kurs mimo

spóźnionego terminu. Wysłałem więc zgłoszenie, na które otrzymałem niezwłocznie odpowiedź pozytywną i informację o konieczności dokonania stosownych wpłat na kurs i literaturę. Pieniądze te wysłałem bez porozumienia z rodzicami (po prostu nie opłaciłem w terminie internatu, co między innymi skutkowało później moim półrocznym pobytem na stacji). Niestety kolejnej korespondencji już nie było – nie otrzymałem odpowiedzi na pismo, w końcu wysłałem na adres organizatora odcinek potwierdzający wpłatę – bez skutku i tak to skończyła się moja pierwsza przygoda z krótkofalarstwem. Przegrałem 0:1. Brak doświadczenia życiowego przegrał z nieuczciwością. Miałem wtedy 16 lat.

Nauka w szkole średniej nieco się przedłużyła z 5-ciu do 6-ciu lat. Pomogła mi w tym pani wychowawczyni klasy ucząca jednocześnie chemii. Początek był klasyczny. Równoległa klasa żeńska poinformowała nas, iż na zakończonej właśnie lekcji chemii pani profesor przeprowadziła ostre odpytywanie („korbiła”). Wpadłem w panikę – skorzystałem z oferty zwolnienia mnie przez profesora fizyki Mariana Krajewskiego z lekcji chemii w zamian za pomalowanie tablicy rejestracyjnej naszego szkolnego samochodu WARSZAWA M-20. Byłem niezły z przedmiotów ścisłych, w szczególności z fizyki i stąd łatwość kontaktu z profesorem. Nie przewidziałem jednak dalszych konsekwencji tego zdarzenia. Rozczarowana moją decyzją pani od chemii postanowiła egzekwować moją wiedzę na każdej kolejnej lekcji w/g scenariusza: ”Adam do tablicy – patrzcie on nic nie umie, siadaj! Dwója!” Ponieważ działo się to późną wiosną do końca roku było niedaleko i zakończyło się poprawką. Solidnie przygotowywałem się przez wakacje i tuż przed rozpoczęciem nauki wraz z Ojcem pojechałem do Gorlic na przedegzaminacyjne spotkanie z Panią Profesor. Tato pozostał na ulicy, a ja po schodach (drewnianych) wyszedłem na piętro i zadzwoniłem do mieszkania. Drzwi uchyliły się, a w kierunku moich uszu poleciały niezbyt optymistyczne słowa o moich szansach na zdanie egzaminu. Wystarczyło. Po schodach, tylnymi drzwiami wypadłem na podwórko i niepostrzeżenie znalazłem się w parku. Bez celu plątałem się do końca dnia, za 2 złote, które znalazłem w kieszeni kupiłem ćwiartkę chleba i na parkowej ławce spędziłem noc. Na drugi dzień zacząłem się zastanawiać, co robić. Szkoła była już poza moimi pomysłami. Postanowiłem poszukać pracy. Jakoś wcale nie myślałem, co może dziać się w moim domu, jak zareagował Tato, kiedy po kilku godzinach oczekiwania otrzymał od Pani Profesor odpowiedź, że dawno mnie już u niej nie ma! Prosto z parku przeszedłem przez skrzyżowanie i ująłem klamkę Zakładu Usług Radiowo-Telewizyjnych w Gorlicach – popularnego w tych latach ZURiT-u. Myślałem kategorią chwili – załatwię

pracę (posiadłem już wówczas umiejętności usuwania prostych awarii sprzętu RTV, miałem dużo literatury na ten temat i trochę doświadczenia) a potem wrócić do domu. Nie zdążyłem. W chwili gdy otwierałem drzwi do zakładu usłyszałem krótkie: „Adam!” To był Tato. Bez słowa wyrzutu zapytał mnie czy coś jadłem i zaproponował obiad, który zjedliśmy w „Viktorii” w milczeniu. Po obiedzie zapytał, gdzie moglibyśmy spokojnie porozmawiać. Zaproponowałem ławeczkę przy ścieżce nad rzekę. Usiedliśmy i w bardzo spokojnej rozmowie ustaliliśmy dalsze postępowanie. Egzamin poprawkowy już niestety odbył się, ale nasz wspaniały dyrektor Stanisław Misiólek zaproponował ponowne powołanie komisji – w innym dniu, ponieważ jeden z jej członków prof. T. Paździora awansował na dyrektora Zespołu Szkół Mechanicznych w Gliniku i tam rozpoczął pracę. Zaciąłem się, postanowiłem nie zdawać egzaminu lecz pozostać na drugi rok w tej samej klasie (trzeciej). Dyrektor nie dał za wygraną – pozostawił mi czas do namysłu. Nie zmieniłem zdania. Życzył mi powodzenia w nowym roku szkolnym w nowej klasie – uściśnął mi dłoń. Młodzieńcza głupota (bo inaczej z perspektywy czasu nie potrafię nazwać tej mojej postawy) spowodowała, iż podjąłem naukę ponownie w klasie III z nowymi koleżankami i kolegami. No niezupełnie – towarzyszył mi już niestety nieżyjący Jurek Pawluk wspaniały akordeonista („pierwsza cyja w Gorlicach”).

W tym miejscu nie mogę powstrzymać się od spojrzenia z perspektywy czasu na postawę mojego Ojca. Człowiek, który poza doświadczeniem życiowym nie zdobywał teoretycznej wiedzy pedagogicznej zachował się w tej sytuacji w sposób niezwykle profesjonalny. Jako wykwalifikowany i doświadczony obecnie pedagog nadal zachwyca mnie jego wyczuciem pedagogicznym przy jednoczesnej konsekwencji i stanowczości działań. Tato byłeś wspaniały!

A co dalej? Jedną z pierwszych lekcji była chemia:

Adam do tablicy! Pisz!... I co widzicie? A myśleliście, że przyszedł do was nieuk? Bardzo dobrze! Siadaj.

I taki scenariusz powtarzał się przez kolejne lekcje. Na koniec trzeciej klasy miałem czwórkę z chemii, a pod koniec czwartej (kończącej cykl nauczania tego przedmiotu) Pani Profesor zaproponowała mi zaliczenie materiału wcześniejszego na bdb. Zgodziłem się, ale odwlekałem termin sprawdzianu, ponieważ zdawałem sobie sprawę z niedostatków mojej ówczesnej wiedzy. Do sprawdzianu nie przystąpiłem. Na dyplomie maturalnym w pozycji chemia – bardzo dobry.

Podobnie na innych lekcjach wiodło mi się niezgorzej – nawet na j. polskim nie miałem już większych kłopotów – co prawda nastąpiła zmiana nauczyciela, uczyła nas teraz pani prof. Irena Miarecka. Pozwolę sobie w tym momencie na opisanie kilku dowcipnych zdarzeń, których *spiryтус movens* był właśnie Jurek Pawluk. Owszem zdarzały mi się „niegroźne” oceny niedostateczne na języku polskim, ale były one wygenerowane właśnie przez Jurka, który od czasu do czasu wpadał na sympatyczny pomysł:

Adam, załatwić ci dwóję?

Pani Profesor Baniak chce być pytany!

Siedzieliśmy razem w pierwszej ławce koło drzwi wejściowych i pieca kaflowego. Miało to pewne znaczenie w związku z częstymi przypadkami spóźnień mojego sąsiada. Dojeżdżał on bowiem koleją z Glinika Mariampolskiego. W niektórych przypadkach udawało mu się niepostrzeżenie wejść i usiąść na miejscu – kiedy jednak pani odkryła jego spóźnienie tłumaczył się zwykle: „aaa... bo...” i dodawał szybko: „bo pociąg się spóźnił!”. Pewnego dnia, jego spóźnienie znacznie się wydłużyło w czasie – po zdawkowym „aaa... pociąg się spóźnił” Pani Profesor zapytała o książki i zeszyty (Jurek bowiem zawsze przychodził do szkoły bez „tornistra”) – wykonał ruch głową, rozpiął marynarkę i... z za pasa spodni wyjął zeszyt „do wszystkiego”. Kiedy usiadł na krzeselku objaśnił mi precyzyjnie:

Jak mam nowy zeszyt

to mi zawsze ktoś zapieprzy

ale nie jestem cieniem

i zeszyt noszę za pasem.

Kiedy na lekcji zrobiło się trochę nudniej Jurek postanowił mi także dokładniej wyjaśnić przyczyny spóźnienia:

Wsiadłem sobie jak zwykle [tzn. bez biletu] do pociągu w Mariampolu zadowolony, że na czas dojadę do Gorlic. Wyobraź sobie, że przyszedł konduktor i zapytał mnie o bilet, którego oczywiście nie miałem. Rozwinęła się więc grzeczna dyskusja, w której usiłowałem przekonać go, iż fakt posiadania przeze mnie biletu bądź nie, nie ma najmniejszego wpływu na bieg pociągu. Nie mógł jednak zrozumieć mojej argumentacji i w Gorlicach zaprowadził mnie do dyżurnego ruchu. Bardzo zajęty

szef stacji nie miał czasu zająć się moją sprawą, gdyż wypełniał jakieś ważne papiery. Nie pomogły tłumaczenia, iż z każdą minutą zmniejszają się moje szanse na udział w lekcji z ukochaną Panią Profesor. Zniecierpliwiony wziąłem sprawy w swoje ręce (dosłownie) – wyjąłem cichutko klucz z drzwi, powiedziałem „przepraszam” a następnie wyszedłem zamykając drzwi z zewnątrz – popatrz to ten klucz

– powiedział wyjmując z kieszeni najprawdziwszy przedmiot służący właśnie do tego celu!

Czasem Jurek potrafił się rozmarzyć – rozmawialiśmy wówczas o wakacjach, na które przygotowując się gromadził niezbędny sprzęt. Był to aparat fotograficzny – „szpiegowski” na taśmę filmową 16 mm i odbiornik tranzystorowy „Kijev”. Zazdrościłem mu bardzo tych urządzeń. Roztaczał także przede mną perspektywy zdobywania w czasie wakacyjnej wyprawy zdrowego pożywienia – wymyślił przy tym pewien sposób:

Wiesz, będziemy szukać gospodarstwa z dużym ogrodem, w którym będzie drób – kury, gęsi a może kaczki. Ja sobie przygotuję wędkę z tym co drób lubi najbardziej na haczyku. Ty pójdziesz z drugiej strony ogrodzenia, zawołasz, sypiąc ziarno, kaczki do siebie. Kiedy wszystkie zgromadzą się pod twoim płotem ja z drugiej strony zarzucę wędkę i zawołam. Wyobrażasz sobie co się będzie działo? Wszystkie gęsi i kaczki jak zwariowane przybiegną do mnie a na wędkę złapie się jaka? No... jaka kaczka? Najszybsza, nie nadto tłusta, jednym słowem najzdrowsza!!!

Jurek potrafił też pomóc Pani Profesor. Pewnego dnia na pierwszej lekcji zauważył, iż wygląda niezbyt zdrowo, jest zmęczona, a na pytanie o samopoczucie odpowiedziała, że jest po prostu głodna. Zasnęła i nie zdążyła zjeść śniadania. „To my coś z Baniakiem załatwimy” – wyciągnął mnie z ławki i razem zeszedliśmy do kuchni w suterrenach:

Prosimy o trzy bułki z masłem na talerzyku

zdecydował bez namysłu Jurek, a widząc zdziwioną minę kucharki szybko dodał:

Pan Profesor Leon Grabowski wymyślił na dzisiaj malowanie akwarelami trzech bułek z natury.

Oczywiście zagrożenia ewentualnymi pytaniami ze strony Pani Profesor w temacie



j. polskiego już nie było, ale w czasie konsumpcji owych bułek przy piecu wpadł dyrektor pan Stanisław Misiólek i okazał pewne zdziwienie zaistniałą sytuacją.

Jurek był znakomitym akordeonistą. Doskonale grał z nut, ze słuchu, pisał także melodie do piosenek. Wraz z Piotrem Nowakiem, późniejszym gitarzystą zespołów Blackout i Breackout, obsługiwał dansingi w gorlickich restauracjach. Obowiązkowym instrumentem na lekcjach muzyki były jednak skrzypce. Jurek nie przykładął specjalnej wagi do ich posiadania. Ze względu na znakomite umiejętności gry na akordeonie i innych instrumentach klawiszowych nauczyciele muzyki rzadko sprawdzali jego umiejętności na lekcjach. Jednak prof. Michalec zaskoczył wszystkich, w tym przede wszystkim Jurka wywołując go do zagrania ćwiczonej wcześniej sonaty. Koledzy podrzucili mu jakieś skrzypce niewiadomego pochodzenia posiadające niestety tylko jedną strunę oraz nie pierwszej młodości smyczek z niewielką ilością włosów. Niezrażony tym Jurek szykując się do prezentacji podstroił fachowo tę jedną strunę i zagrał na niej bezbłędnie ową sonatę!!! Profesor co prawda z ogromnym niesmakiem zwrócił uwagę na „sprzęt” Jurka ale za jego wirtuozowski występ „na jednej strunie” wstawił mu jedyną, możliwą ocenę – piątkę. Jurek niestety zmarł bardzo wcześnie, 21 czerwca 2001 r. – nie było mnie w tym czasie na Podkarpaciu – o jego śmierci dowiedziałem się znacznie później. Od tej pory przynajmniej raz w roku odwiedzam Go na cmentarzu w Gorlicach.

Powtarzając klasę trzecią przez pewien okres czasu mieszkałem na stacji ponieważ moje wcześniejsze pomysły (wpłata na kurs krótkofalarski, który z przyczyn opisanych wcześniej nie doszedł do skutku, a także zakup bez zgody i wiedzy rodziców tranzystorowego składaka i innych części elektronicznych) skutkowały odsunięciem w czasie terminu płatności za pobyt w internacie, co w połączeniu z powtarzaniem klasy uniemożliwiły dalszy pobyt w internacie. Miało to początkowo same dobre strony – nie podlegałem bowiem jurysdykcji kierownictwa internatu i mogłem dowolnie dysponować swoim czasem. Sytuacja ta trwała kilka miesięcy.

Ten drugi okres pobytu w szkole był bardzo sympatyczny. Spotykałem się z dużą życzliwością i tolerancją nawet ze strony Pani Kierownik internatu „Motorowy”, która bardzo rygorystycznie pilnowała przestrzegania regulaminów. Niech świadczy o tym następujący przypadek. Zapisalem się na tzw. „wyjazdówkę” nie mając zamiaru nigdzie wyjeżdżać – był to sposób na ominięcie przepisu wymagającego obecności w internacie już o godz. 20:00 – można było dłużej przebywać bez konsekwencji na świeżym powietrzu i w miłym towarzystwie a wrócić do naszego internatu o dowolnej (nocnej)

porze przez balkon od strony podwórka. Pogoda była wyjątkowo sprzyjająca i w sympatycznym towarzystwie spacerowaliśmy po mieście. Nagle pojawiła się sylwetka „Motorówy” – jedna z koleżanek, Agata, odważnie powiedziała „dobry wieczór” – pani W. zatrzymała się i zaniemówiła z wrażenie (było już pewno daleko po 22.00). Na trzeci dzień – poniedziałek – wszyscy uczestnicy wieczornej eskapady zostali wezwani na rozmowy ostrzegawcze do Pana Dyrektora z wyłączeniem mojej osoby. Pomyślałem, iż może pani nie rozpoznała mnie – myliłem się. Po pewnym, dość odległym czasie, po usunięciu awarii oświetlenia w szkole pani W. podziękowała mi i nadmieniła nieśmiało, abym więcej nie korzystał z „nieskonsumowanych” wyjazdówek i nie sprowadzał młodszych koleżanek na złą drogę. Rozumiałem tę aluzję.

Mając więcej czasu mogłem podjąć „pracę” w charakterze korepetytora z matematyki krewnej Pani Wychowawczynie internatu przy ul. Moniuszki – uczennicy szkoły podstawowej. Zajęcia te przynosiły mi niezły dochód, umożliwiając realizowanie moich nowych pomysłów już bez uszczerbku dla kieszeni rodziców jak też zaległości w opłatach za internat.

W okresie zimowym gorlicka organizacja narciarska organizowała zawody narciarskie na Magurze Małastowskiej. Nie było wówczas radiotelefonów, więc łączność przewodową pomiędzy startem i metą organizowaliśmy wraz z kilkoma kolegami bazując na telefonach wojskowych znajdujących się w naszej, szkolnej pracowni przysposobienia obronnego prowadzonej przez prof. Kazimierza Szydło. W przeddzień zawodów z telefonami MB-43 oraz przewodem telefonicznym na bębnie plecakovym oraz odpowiednimi szpilkami uziemiającymi jechaliśmy na przełęcz, skąd pieszo docieraliśmy do schroniska. Tam lokowaliśmy się w pokoiku na piętrze, by następnie przygotowywać łączność. Najlepszy narciarz z naszej grupy zjeżdżał z bębniem na plecach ze stanowiska startowego obok trasy zawodów rozwijając w ten sposób przewód telefoniczny. Następnie należało na starcie i na mecie zainstalować uziemienie, przewody linii i uziemienia podłączyć do aparatu i można było przeprowadzić test łączności. Podczas startu zawodnika sędzia odliczał do słuchawki telefonicznej na starcie czas, w momencie startu zawodnika sędzia na mecie włączał stoper. Czas przejazdu zapisywano w odpowiednich arkuszach, które następnie bezbłędnie i ekspresowo obliczał niezastąpiony w takich przypadkach Olek Maksymowicz – syn naszego profesora Romana – i ustalał wyniki. Nie było przecież w tym czasie ani komputerów, ani tym bardziej kalkulatorów. Po zawodach zwijaliśmy sprzęt i wracaliśmy do internatu. Chętnie

obsługiwaliśmy takie zawody bo wiązało się to – poza zimową wycieczką – także z odpowiednią dietą finansową.

## WYCIECZKA DOKOŁA POLSKI

Nadszedł wrzesień 1967 roku. Rozpoczęliśmy naukę w ostatniej, piątej klasie liceum. Czekają nas chyba najsympatyczniejsze wydarzenie – dwutygodniowa wycieczka autokarowa wokół Polski. Wczesnym rankiem przed budynkiem szkoły przy ul. Niepodległości 5 wsiedliśmy do dwóch autokarów marki JELCZ RT10 („ogórek”), które na najbliższe 14 dni stały się naszymi salami lekcyjnymi a nawet hotelami. Zanim doszło do tego wydarzenia przez wiele miesięcy przygotowaliśmy trasę i program, a od początku naszej nauki gromadziliśmy środki finansowe na tzw. funduszu wycieczkowym. Wycieczka była stosunkowo kosztowna, jednak poprzez zapobiegliwość organizatorów, wybieranie tanich noclegów i przygotowywanie wyżywienia w znacznej części przez uczestników, możliwa do realizacji. W luki autokarów załadowaliśmy nie tylko nasze bagaże, ale także produkty żywnościowe o możliwie długim okresie przydatności do spożycia. Zdjęcia i wspomnienia do dzisiaj wywołują dreszczyk emocji. Trasa biegła z Gorlic przez Kraków, Górę Św. Anny, Wrocław, Poznań, Kaszuby do Trójmiasta, a stamtąd przez Warszawę i Sandomierz do Gorlic.

W poznańskim schronisku wycieczkowym zainteresowało nas pewne zamieszanie w recepcji spowodowane brakiem możliwości porozumienia się z jakimś obcojęzycznym turystą. Nasza Krysia Trygar, znająca język niemiecki wkroczyła do akcji tak skutecznie, iż nazajutrz rano do autokaru wraz z nami wsiadł nowy znajomy, Francuz Ivo Miszu (nazwisko napisałem fonetycznie, ponieważ po upływie czasu nie jestem w stanie określić jego pisowni). Zamierzał dotrzeć do Warszawy na mecz Polska-Francja, ale zmienił zdanie i kontynuował z nami wycieczkę przez Biskupin, Kaszuby i Trójmiasto. Do Warszawy dotarliśmy już niestety po meczu, co jednak nie zmartwiło naszego kompana. Ponadto na Westerplatte miał okazję odwiedzić miejsce (pomnik), gdzie kilka dni wcześniej złożył wieniec Charles de Gaulle. Warto dodać, że francuzi *nomen omen* 17 września 1967 r. w Warszawie sprawili nam tęgie lanie ustalając wynik meczu na 4:1 dla Francji.

Szczególnie utkwiły mi w pamięci niektóre fragmenty podróży oraz zwiedzane miejsca. Poza wrażeniami z pobytu na Górze św. Anny, związanej z historią powstań

śląskich, wyjątkowo wspominam tereny związane z prapoczątkami naszej państwowości począwszy od Gniezna i Katedry z Drzwiami Gnieźnieńskimi, na których przedstawiono sceny z życia św. Wojciecha. Kolejnym przystankiem było jezioro Lednickie z największą wyspą Ostrowem Lednickim, na której prawdopodobnie Mieszko I przyjął chrzest. Dopiero w roku 1969 powstało tam Muzeum Pierwszych Piastów – we wrześniu 1967 r. mogliśmy zobaczyć jeszcze naturalny stan wykopalisk archeologicznych. Na wyspę płynęliśmy prymitywnym promem – łodzią mocowaną do liny rozciągniętej między brzegiem a wyspą za pomocą dwóch pierścieni i poruszanej przez przewoźnika za pomocą drewnianego uchwytu. Niezwykle ciekawym miejscem był Biskupin. Tam w okresie międzywojennym odkryto fragmenty umocnień starożytnej osady obronnej kultury łużyckiej sprzed ok. 2500 lat.

W Kartuzach zwiedzaliśmy Muzeum Kaszubskie, w którym szczególnie zainteresowały nas ludowe instrumenty muzyczne takie jak „burczybas” zbudowany z beczki bez dna, z którego basowy dźwięk wydobywał się w trakcie pociągania przez mały otwór w pokrywie włosia końskiego polewanego wodą oraz diabelskie skrzypce wyglądające jak miotła na kiju z głową diabła przyozdobioną dzwoniącymi blaszkami. Trzonek owej miotły wyposażony był w struny, które szarpane odpowiednio brzęczały. Ekspozycji instrumentów towarzyszyła także prezentacja tzw. kaszubskich nut. Składały się one z trzech pięciolinii, na których zamiast nut wymalowano różne obrazki przedstawiające budowle, instrumenty, narzędzia rolnicze, zwierzęta i figury geometryczne. Korzystający z owych nut wymieniał w odpowiedniej kolejności nazwy tych obrazków w takt określonej melodii. Od wizyty w tym muzeum mija już blisko pół wieku a ja nadal pamiętam tę piosenkę:

To je krótczi, to je dłędzi, to kaszëbskô stolëca.

To są basë, to są skrzëpczi, to òznaczô Kaszëba.

Òznaczô Kaszëba, basë, skrzëpczi, krótczi, dłędzi, to kaszëbskô stolëca.

To je ridel, to je tęcz, to są chojnë, widlë gnojné.

To je krzëwé, to je prosté, to je sledné [tylné] kòło wòzné.

Tylné kòło wòzné, to je krzëwé, to je prosté, chojnë, widlë gnojné, ridel, tęcz,  
òznaczô Kaszëba...

To są huczi, to są ptôczi, to są prësczé półtrojôczi [półtorôczi].

To je klëka, to je wół, to je całé a to pól.

Klëka, wół, całé, pól, hôk, ptôk, półtrojôkl, chojnë, widlë gnojné...

To je małé, to je wiôldzé, to są janstruménta wszôlczé

Oczywiście kaszubskie słowa tej piosenki wkleiłem z Internetu ponieważ ich pisownia nastroczała by zbyt dużo problemów, jestem jednak przekonany, iż Koleżanki czy Koledzy zaśpiewają ją bez problemu na podstawie „zapisu nutowego”.

Kolejny dzień to Trójmiasto – oczywiście Gdańsk, poczta Gdańska i pomnik Neptuna na Długim Targu oraz rejs na Hel. Na Westerplatte przybyliśmy tuż po wizycie prezydenta Francji Charlesa de Gaulle. Mogliśmy dotknąć wieńca, który złożył pod pomnikiem uznając bohaterstwo Obrońców Westerplatte. Prywatnie odwiedziłem w Gdyni rodzinę kuzynki Celiny Giersz na ulicy Świętojańskiej. Kolejny zapamiętany punkt na mapie podróży to Warszawa. Oczywiście zwiedzanie podstawowych obiektów turystycznych w tym PKiN oraz sztuka w teatrze i znów nieco prywaty. Kolega Kazik Cetnarski zabrał mnie w odwiedziny do swoich znajomych – rodziny kolegi, którego poznał w Rymanowie. Okazało się, iż ów chłopak podobnie jak ja interesuje się elektroniką. Zaprowadził mnie do sklepu (pewno BOMIS-u) gdzie po 5 zł kupiłem kilka głośników!

Ostatnią, (zieloną) noc spędziliśmy w Sandomierzu (a może w Kazimierzu?), pewno ktoś mi podpowie. Na ostatnim spotkaniu koleżeńskim w 55. rocznicę matury, 9 września 2023 r. Koleżanki potwierdziły, że jednak był to Kazimierz Dolny. Była to szczególna noc nie tylko ze względu na kolor ale fakt, iż brakło miejsc noclegowych w miejscowym schronisku. Chłopcom przypadł więc nocleg w autokarach na niezbyt wygodnych siedzeniach. Na szczęście można było rozłożyć wstawki środkowe, co czyniło autokar bardziej przyjaznym. Oczywiście zanim położyliśmy się spać, dosyć długo świętowaliśmy ostatni dzień wolności ze świadomością, iż od najbliższego poniedziałku wszystko się zmieni – zamienimy fotele w autokarze na krzeselka w klasie szkolnej, a profesorowie z przyjaznych prawie kumpli będą musieli zmienić się w szkolne autorytety. Balując radośnie nie zauważyliśmy, że temperatura rzeczywista na zewnątrz znacznie się obniżyła. Rankiem, po przebudzeniu nie mogliśmy wydobyć głosu z gardeł a to za przyczyną i głośnych śpiewów, zimnego piwka a przede wszystkim ujemnej temperatury na zewnątrz i niewiele wyższej w autokarze. Na drzewach bowiem dziadek mróz osadził malowniczy szron. Podobnie zbieleła trawa. Powrót do Gorlic odbywał się

więc co prawda przy śpiewie „Panie szofer gazu..., Na zielonej łące raz, dwa, trzy..., A morze zawodzi i płacze...” itp. ale już bez wyraźnych głosów męskich.

Nauka w klasie Va miała już nieco inny charakter. Dużo hospitacji, lekcji prowadzonych najpierw w swojej klasie, następnie w szkole ćwiczeń i na koniec (na początku 1968 r.) w terenie. Ja odbywałem praktykę w mojej szkole w Uściu Gorlickim głównie pod opieką pani Teresy Stasiowskiej i Natalii Baniak.

Szczególnie interesująco, zwłaszcza dla nieorientowanych w temacie obserwatorów z zewnątrz, musiały wyglądać przygotowania do pierwszych, samodzielnych lekcji w szkole ćwiczeń. Delikwent, na którego padło przygotowywał najpierw obszerny „elaborat”, w którym zawierał temat i cele lekcji, następnie jej tok rozpisany w głównych „momentach” na szczegółowe pytania i przewidywane odpowiedzi uczniów. Potem, zwykle wieczorem w internacie, przy udziale koleżanek i kolegów odbywała się próba generalna. Siadaliśmy wkoło na łóżkach, a przygotowujący się do lekcji (w ogromnym skupieniu) realizował przewidziane w „elaboracie” zadania. Zadawał pytania, my zaś staraliśmy się odpowiadać na poziomie przewidywanej wiedzy naszych uczniów. Jeden z kolegów prowadził coś, co dzisiaj nazwalibyśmy chronometrażem – z zegarkiem w ręku czuwał nad utrzymaniem się prowadzącego w narzuconym „elaboratem” reżimie czasowym. A na drugi dzień, już przed właściwą klasą, w obecności kolegów i koleżanek a także nauczyciela przedmiotu i naszego pedagoga następował sprawdzian. Dodam, iż wtajemniczaliśmy zwykle jakąś koleżankę lub kolegę z innej klasy, aby pod drzwiami podsłuchiwała przebieg zajęć, i przekazywała, także wtajemniczanej pani woźnej informację o ich zakończeniu. Chodziło oto, aby w przypadku nieco przedłużającej się lekcji lub nieco przyspieszonej (oczywiście najwyżej o kilka minut), dzwonek zabrzmiał we właściwym momencie. Na szczęście nie używano jeszcze wówczas w naszym liceum programowanych, bezdusznych dzwonek elektronicznych.

Tak „wylaszowany” mówiąc językiem lotniczym młody nauczyciel rozpoczynał okres licznych, lecz już mniej stresujących praktyk w szkole ćwiczeń i w terenie.

Nauka w szkole zakończyła się wcześniej aby pozostały do majowej matury czas wykorzystać na indywidualne przygotowania do poszczególnych egzaminów. Korzystając z pięknej, wiosennej pogody wiele osób „wkuwało” na świeżym powietrzu. Szczególną popularnością cieszyły się nadrzeczne łączki i zarośla przynajmniej do czasu, kiedy to

jedna z koleżanek podczas edukacyjnego spaceru natknęła się na... nogi wiszącego przed nią denata.

Mówiąc szczerze taka forma przygotowywania się do matury bardzo mi odpowiadała, byłem panem swojego czasu ale właśnie z tego powodu jego większą część wykorzystywałem na zajęcia, które pewnie w niewielkim stopniu można by było zaliczyć do repetycji programowej. Szczęśliwie, jak później się okazało na korytarzu szkolnym znalazłem ściągę dotyczącą Adama Mickiewicza, do której nikt się nie przyznał i na wszelki wypadek zachowałem ją do dnia egzaminu.

I tak dotarliśmy do matury. Do egzaminu przystępowało około 80 osób – zarezerwowano więc na ten cel kilka klas i hol na pierwszym piętrze, gdzie już rano przywitały nas zamknięte na kłódkę drzwi. Po otwarciu „obiektów maturalnych” wchodziliśmy do holu losując miejsca. Z trzech tematów jeden dotyczył właśnie Mickiewicza – uspokojony rozpocząłem pracę, podczas której raczej korzystałem ze swojej wiedzy, tylko czasem zerkąłem do ściągą przekonany, że nikt tego nie widzi. Myliłem się jednak. Po pewnym czasie podeszła do mnie Pani prof. Izabela Orłowska i poprosiła o ściągę: „A teraz pisz samodzielnie” – powiedziała.

Już wieczorem wiedziałem, iż otrzymana ocena pisemnej pracy maturalnej z języka polskiego zwalnia mnie z obowiązku zdawania egzaminu ustnego, którego znacznie bardziej się obawiałem. Zawsze, także na studiach, wolałem formę pisemną egzaminu od ustnej. Uspokojony przystąpiłem następnego dnia do egzaminu z matematyki. Po niespełna godzinie miałem rozwiązane zadania, ale markowałem dalszą pracę licząc na możliwość udzielenia pomocy kolegom. Niestety prof. Roman Maksymowicz podszedł, rzucił okiem na moją pracę i polecił mi wyjść z klasy – za drzwiami przejął mnie dyr. Stanisław Misiołek i zaproponował pozostanie w bibliotece do końca egzaminu. Okazało się jednak, iż Pani polonistka Irena Miarecka, nie uczestnicząca w egzaminie wychodzi do domu więc dyrektor pozwolił mi iść z nią do internatu. Cała ta akcja miała na celu nie dopuszczenie mnie do udziału w „tajnym” zespole pracującym nad przemyconymi zadaniami maturalnymi w piwnicy budynku. Kiedy mineliśmy kino „Wiarus” Pani Irena zaczęła martwić się, że koledzy Jurek Pawluk i znakomity polonista Zdzisiek Karp niewiele napisali, postanowiłem więc wrócić do szkolnej piwnicy, na co z entuzjazmem przystała.

Pozostałe egzaminy z przedmiotów pedagogicznych, czy też historii i WOS

przebiegły bez sensacji i w końcu stałem się posiadaczem świadectwa dojrzałości Liceum Pedagogicznego, notabene pisanego własnoręcznie, upoważniającego mnie do pracy w szkole podstawowej w charakterze nauczyciela. Po uroczystym wręczeniu świadectw zaprosiliśmy naszego wychowawcę prof. Władysława Masłowskiego do kawiarni „Stokrotka”, gdzie wspólnie wypiliśmy kawę i po lampce wina – no nie wszyscy, bo Tadzio A. poprosił o 25g wódki...

Równoległe do mojej, szkolnej edukacji toczyło się także życie moje i mojej rodziny. Z racji swojego zawodu i chęci przebywania Ojca poza Odernem, o czym na wstępie wspominałem, mieliśmy okazję zamieszkiwać w dłuższych lub krótszych okresach czasu w różnych, dziewiczych terenach powiatu gorlickiego – w leśniczówkach, które już niestety znikły z powierzchni ziemi.

## **LEŚNICTWO REGETÓW**

15 stycznia 1959 r. na oderniański adres Taty wpłynęło pismo nadleśniczego nadleśnictwa Gładyszów, inż. Włodzimierza Kawy, informujące o zamierzonej likwidacji leśnictwa Nowica i przekazania go wraz z majątkiem ruchomym i nieruchomym leśniczemu leśnictwa Kwiatów Jerzemu Malawskiemu do 20 stycznia i objęcie nowego leśnictwa Regetów do 26 stycznia 1959 r. Znacznie później, 23 maja 1959 r., do nadleśnictwa Gładyszów wpłynęło pismo z nowego, Okręgowego Zarządu Lasów Państwowych w Przemyślu mianującego z dniem 1 kwietnia 1959 r. Tatę leśniczym służby zewnętrznej leśnictwa Regetów, podpisane przez dyrektora OZLP mgr inż. Stefana Dąbka. Po przejęciu leśnictwa w styczniu 1959 r. dopiero w kwietniu nowy gospodarz otrzymał do dyspozycji stary, połemkowski dom w miejscowości Zdynia, otoczony starymi świerkami przed zakolem rzeki Zdyni. Niestety, mimo malowniczego położenia budynek ten (jak widać na zdjęciach na kolejnych stronach) nie nadawał się do zamieszkania dla naszej liczącej siedem osób rodziny. Część mieszkalna zawierała bowiem tylko kuchnię o pow. 15 m<sup>2</sup> oraz jeden pokój o pow. 20 m<sup>2</sup>. Ponadto pomieszczenia gospodarskie. O wygodach typu energia elektryczna, woda czy kanalizacja w ogóle nie było mowy. Obiecywane przez nadleśnictwo i OZLP mieszkanie niestety nigdy się nie zmaterializowało mimo wielokrotnych pism zainteresowanego i obietnic przełożonych. W konsekwencji Tato wraz z robotnikami leśnymi przebywał w Zdyni, a na niedzielę przyjeżdżał do domu w Odernem. Rodzina musiała więc prowadzić „dwie kuchnie”.



Mnie osobiście tymczasowy pobyt (w czasie wakacji) u Taty bardzo się podobał. Miałem wówczas 10 lat i możliwość łowienia pstrągów obok leśniczówki. Za rzeką mieszkał bardzo sympatyczny gajowy pan Stefan Hyra w nowoczesnym domu, posiadał nawet energię elektryczną z własnej elektrowni wodnej, a przede wszystkim trzy sztuki broni: sztucer, dubeltówkę oraz wiatrówkę. Tą ostatnią czasem mi udostępniał do ćwiczenia oka podczas strzelania do drewnianej tarczy na pniu drzewa. Do dnia dzisiejszego, chociaż od lat co najmniej czterdziestu mam nieskuteczny organ powonienia, pamiętam zapach świeżo skoszonej obok leśniczówki trawy. Oprócz pana Hyry drugim gajowym w Leśnictwie Regetów był pan Dwojak z niekompletną liczbą palców u jednej z rąk. Nie znam dalszych losów budynku leśniczówki – kilkanaście lat temu odnalazłem to miejsce za hotelem nadleśnictwa oraz wielorodzinnymi domami, na którym zachowała się jednak kamienna podmurówka. Przy kolejnej wizycie w jej miejscu był ogródek warzywny, obecnie już nie ma po niej żadnego śladu.



*Tato Antoni wraz z gajowym Stefanem Hyrą ((fot. ze zbiorów autora)*

Już w Leśnictwie Nowica skierowano na praktykę zawodową zdolnego absolwenta Technikum Leśnego w Krasiczynie Kazimierza Sołtysa, który pod okiem mojego Taty Antoniego zdobywał praktyczne doświadczenie w zawodzie leśnika. Ponieważ w tym

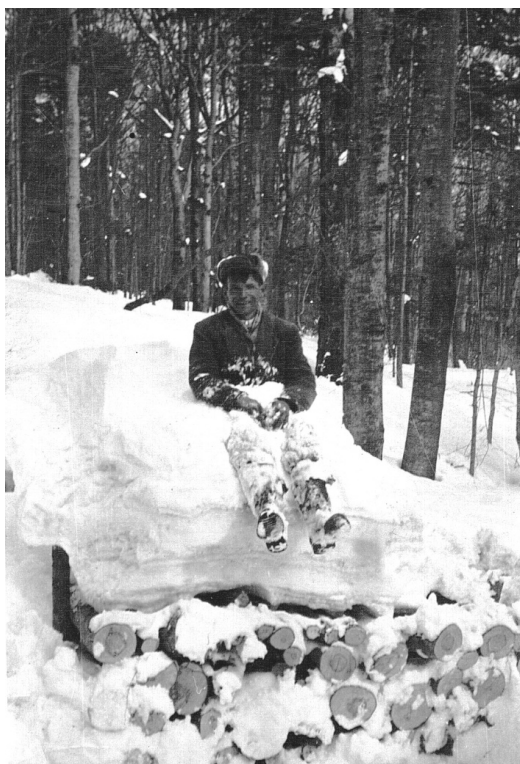
okresie mieszkaniem służbowym leśniczego był jego dom rodzinny – pan Kazimierz stał się więc na okres praktyki członkiem naszej rodziny. W wyniku osiągnięć w pracy zawodowej w późniejszym okresie oraz ukończenia studiów wyższych pan Kazimierz pełnił funkcje między innymi zastępcy dyrektora OZLP w Krośnie, nadleśniczego w Brzozowie, a potem do emerytury dyrektora fabryki Mebli w Strzyżowie, gdzie mieszka do chwili obecnej.



*Przed leśniczówką leśnictwa Regetów w Zdyni – na drugiej fotografii Mama – Irena Baniak z psem Dingo (fot. ze zbiorów autora)*

## LEŚNICTWO NIEZNAJOWA I LEŚNICTWO JASIONKA

Po kilku latach starań, wysyłania korespondencji zarówno do OZLP w Przemyślu jak też Związku Zawodowego Rolnictwa i Leśnictwa, Tato decyzją z dnia 19 lutego 1962 r. nadleśniczego nadleśnictwa Gładyszów inż. Tadeusza Czapli został zobowiązany do przejścia dodatkowo w zastępstwie leśnictwa Nieznajowa do dnia 28 lutego.



*Aby dotrzeć do drewna w metrowych sągach należało najpierw się do nich dokopać, pokonując dwumetrową warstwę śniegu.*

*Na zdjęciu robotnik leśny Władysław Stawiarz, marzec 1962 r. (fot. ze zbiorów autora)*

Biorąc pod uwagę dużą ilość drewna na składach (ok. 2000 m<sup>3</sup>) i grubość pokrywy śnieżnej sięgającej miejscami 2m zadanie postawione przed oddelegowanym stało się niemożliwe. Dopiero zdecydowana prośba do OZLP w Przemyślu o zwolnienie bez wypowiedzenia z dniem 1 czerwca 1962 r. z pracy w nadleśnictwie Gładyszów z powiadomieniem Związków Zawodowych i Komitetu Powiatowego PZPR w Gorlicach poskutkowało. Antoni Baniak, decyzją OZLP w Przemyślu z dnia 11 sierpnia 1962 r.

został mianowany leśniczym służby zewnętrznej leśnictwa Nieznajowa w Nadleśnictwie Gładyszów Okręgowego Zarządu Lasów Państwowych w Przemyślu.

Równocześnie z mianowaniem otrzymał mieszkanie służbowe, tym razem w znacznie lepszej kondycji technicznej. Nadal co prawda nie było energii elektrycznej, wodę trzeba było nosić ze studni a do „sławojki” biegać na podwórko, ale był to nowy, drewniany dom, wybudowany obok drogi wiodącej z Jasionki do Czarnego, malowniczo wkomponowany w kompleks leśny, po lewej stronie drogi opadającej do składu. Posiadał także łączność telefoniczną z centralą na poczcie w Gładyszowie w godzinach od 8:00 do 15:00 ale potem pracownik poczty łączył poszczególne, lokalne telefony w jedną całość i można było rozmawiać, czy to z odległym o dwa kilometry gospodarstwem Jasionka, czy też z innymi użytkownikami sieci. Do budynku leśniczówki wchodziło się po wysokich, betonowych schodach przez oszklony ganek, skąd prowadziły drzwi do kancelarii oraz części mieszkalnej składającej się z kuchni, spiżarni i dwóch pokoi. Ze spiżarni, po schodkach, można było dostać się do piwniczki. Z drugiej strony budynku widocznej na pierwszym zdjęciu znajdowała się oddzielna, mała kwatera robotnicza z metalowymi, piętrowymi łóżkami oraz piecykiem. Oprócz budynku mieszkalnego w głębi znajdował się budynek gospodarczy z oborą i pomieszczeniem na paszę, a obok niego „sławojka”.



*Nieistniejąca już leśniczówka leśnictwa Nieznajowa w zimowej szacie – 1965 r.*

*(fot. ze zbiorów autora)*

W tej leśniczówce Rodzice mieszkali do września 1969 r., przy czym od 1 listopada 1966 r. leśnictwo to zmieniło nazwę na leśnictwo Jasionka.

Oprócz wymienionych zalet główną wadą były tzw. szeroko pojęte trudności komunikacyjne. Najbliższy przystanek autobusowy znajdował się w Gładyszowie w odległości około 10 km od leśniczówki, na dodatek można było z niego skorzystać tylko w okresie wiosenno-letnio-jesiennym. Zimową porą autobus z Gorlic dojeżdżał tylko do Małastowa (ze względu na nieprzejezdny odcinek przez Magurę Małastowską), a zimy w górach wówczas były bardziej śnieżne niż obecnie.



*Wejście do leśniczówki tym razem jesienią – z prawej strony autor,  
z lewej mama Irena Baniak z siostrą Marysią i grzybiarze (fot. ze zbiorów autora)*

W latach 1963-1968, a więc dokładnie w okresie tzw. „Nieznajowej” byłem uczniem Liceum Pedagogicznego w Gorlicach. Jak prawie cała, męska społeczność naszej szkoły zakwaterowany byłem w internacie przy ul. Jagiełły w Gorlicach, na przeciw obecnego budynku Biblioteki Publicznej. W pierwszym sezonie zimowym po przeprowadzce rodziców do Jasionki wracałem z internatu na święta Bożego Narodzenia późnym wieczorem. w Małastowie autobus był około 21:00 – zupełnie ciemno, a ja nie znałem czternastokilometrowego skrótu przez Pętą do Krzywej. Sądziłem, że należy iść asfaltową drogą przez przełęcz Magury Małastowskiej do Gładyszowa, a następnie pokonać znany dziesięciokilometrowy odcinek do domu. Z małą, czerwoną walizeczką rozpocząłem wspinaczkę serpentynami na Magurę. Chciałem nieco skrócić drogę i iść na

przełaj – decyzja okazała się bardzo ryzykowna. Po zejściu z drogi wpadłem w głęboki, kopny śnieg zalegający przydrożny rów i tylko moja walizeczka umożliwiła mi wycofanie się w miarę bezpieczne na trakt. Dotarłem na przełęcz około północy i w świetle księżyca dostrzegłem ubitą ścieżkę skręcającą w lewo obok cmentarza wojskowego z I wojny światowej (bitwy pod Gorlicami) a następnie w dół zbocza w poprzek serpentyny drogi w kierunku Gładyszowa. Ślady wskazywały na tzw. „wilczą ścieżkę” – nie miało to jednak dla mnie większego znaczenia. Przewidywania okazały się słuszne i po krótkim czasie znalazłem się na jednym z ostatnich odcinków serpentyny drogi zbiegającej do Gładyszowa. Był jednak mały problem, do drogi dotarłem pod kątem prostym i nie bardzo wiedziałem, w którą stronę iść. Szczekanie psów słyszane z lewej strony przesądziło decyzję i po godzinie marszu byłem już w Gładyszowie. Ostatnie 10 km to był już żart i około czwartej rano byłem w domu.

Następny przypadek zdarzył się nieco później – wracałem do domu z Gorlic pod koniec ferii zimowych. Na drugi dzień należało wrócić do internatu i rozpocząć naukę. Miałem jednak już doświadczenie i wiedzę na temat trasy z Małastowa przez Pętnię do Krzywej. Droga od przystanku autobusowego wiodła przez most na rzeczce, następnie obok murowanej cerkiewki w Pętnej i kilka kilometrów wzdłuż ciągnących się po obu stronach drogi zabudowań aż do lasu. Idąc przez las zauważyłem w pewnym momencie, iż idę wzdłuż flader (są to sznury z czerwonymi wstążkami, którymi myśliwi w przeddzień polowania otaczają stado wilków). Świadomość, że poruszam się w sektorze, w którym zza drzew czają się zdenerwowane i głodne wilki nie poprawiła mojego samopoczucia. Ponieważ nie zauważyłem, w którym momencie rozpoczęły się fladry, nie wiedziałem także z której strony (lewej, czy prawej) znajdują się zwierzęta. Postanowiłem więc iść tuż obok tego swoistego ogrodzenia. Do domu dotarłem szczęśliwie. Na drugi dzień sankami zaprzężonymi w konika odwoził mnie wraz z siostrą Tato do Małastowa. Za Krzywą, przed lasem konie odmówiły posłuszeństwa i nie poszły dalej. Musieliśmy iść na piechotę. Dlaczego? Powód był dość oczywisty – obok drogi leżało kilka wilków odstrzelonych podczas polowania.

Jeszcze innym razem wczesnym rankiem pasłem krowy na składzie poniżej leśniczówki. W pewnej chwili zauważyłem towarzyszącego mi, potężnego, kudłatego wilczura, który spokojnie przysiadł na zadzie i obserwował moją chudobę. Kiedy podchodziłem do niego wolniutko podnosił się, odsuwał na pewną odległość i dalej warował. Zachowywał przy tym cały czas taką samą odległość ode mnie. Trwało to do

momentu przejazdu robotników rolnych PGR Jasionka do Czarnego, którzy uświadomili mi, że to najprawdziwszy, stary wilk. W powstałym zamieszaniu powoli podniósł się z ziemi i wolnym krokiem, nie zważając na krzyki robotników, schował się w lesie.

Oprócz spotkań z dzikimi zwierzętami moja pamięć odnotowała także inne – ciekawe momenty z tamtego okresu. Pewnego dnia w okolicy mojego pastwiska – na drodze przez Czarne spotkałem dwóch myśliwych z bronią, co w tym rejonie nie było rzeczą szczególnie rzadką. Panowie zamienili ze mną kilka zdań, jeden z nich mówił doskonale po polsku, drugi zaś, około 60-letni mężczyzna z wyraźną, wschodnią nutą. Panowie przedstawili się – nazwiska Polaka nie pamiętam, natomiast Rosjanin wymienił swe nazwisko – Aristow. Nic ono mnie wówczas nie mówiło, ale okazało się później, że spotkałem ambasadora ZSRR w Polsce Awierkija Aristowa. Uczestniczył on w polowaniu w okolicznych lasach. W tym celu w Nieznajowej, na przeciw starej gajówki zbudowano prowizoryczne zaplecze hotelowo-gastronomiczne, dostarczono także agregaty zapewniające energię elektryczną.

Często przyjeżdżali do nas myśliwi z Gorlic, Stanisław Musiał – I sekretarz KP PZPR, Julian Huta i Zygmunt Wojtasiewicz z Fabryki Maszyn Wiertniczych i Górniczych w Gliniku Mariampolskim. Z ich pobylem w leśniczówce związane jest także pewne, zabawne wydarzenie. W okresie wakacji było u nas zwykle dużo młodzieży – kuzynostwo z Gdyni, okolic Kłodzka czy też rodzina brata z Olsztyńskiego, która okupowała miejsca noclegowe w kwaterze robotniczej, na strychu czy później w dodatkowo postawionym baraku robotniczym poniżej leśniczówki w kierunku Czarnego. Na okres letni bowiem pracownicy sezonowi zwłaszcza z terenów Podhala wyjeżdżali na sianokosy i żniwa do swoich rodzin. Poza pomocą w gospodarstwie Rodziców – obrządkiem, pasieniem bydła, suszeniem siana, zbieraniem grzybów – robiliśmy sobie różne psikusy. Łóżka piętrowe na kwaterze robotniczej nie posiadały sprężyn i metalowej siatki, na której zwykle układa się materace ale po prostu zwykłe deski. Można je było wyjąć lub przesunąć tak, że delikwent wraz z pościelą przelatywał na niższy poziom lub na ziemię. Ponadto często pod prześcieradłami pojawiały się gałązki jałowca. Po kilku takich zdarzeniach dziewczyny, które najczęściej były obiektem naszych żartów, dokładnie sprawdzały swoje łóżka przed spaniem czy nie zawierają niespodzianek. „Feralnego” dnia przygotowaliśmy jedno dolne łóżko z rozsuniętymi deskami licząc na jakąś „ofiara” naszej zabawy, gdy niespodzianie późnym wieczorem pojawili się goście – myśliwi. Musieliśmy ewakuować się na strych domu pozostawiając hotel do dyspozycji przyjezdnych. Zapomnieliśmy



o przygotowanej niespodziance. O jej efektach dowiedzieliśmy się dopiero na drugi dzień.

Otóż po udanym polowaniu nad ranem na kwaterę wrócili rozemocjonowani myśliwi. Wymieniając między sobą uwagi przygotowywali się do snu. Łóżko z rozsuniętymi deskami wybrał akurat I Sekretarz PZPR z Gorlic Stanisław Musiał i to on wylądował na podłodze kwatery. Wyboru dokonał sam, więc żadnych konsekwencji w tej sprawie nie było (hi)!

W owym czasie, w Jasionce prężnie funkcjonował PGR, a w nim świetlica gdzie oglądaliśmy filmy wyświetlane przez ówczesnego kaowca pana Władysława Tenerowicza. Byliśmy także uczestnikami organizowanych potańcówek. Dokonywaliśmy zakupów w sklepie prowadzonym także przez pana Władysława. Poza tym okolica była pusta po wyjazdach na wschód większości Łemków i późniejszej deportacji pozostałych na ziemie zachodnie. Pamiętam jeszcze stare cerkwie w Czarnem – jednej tylko konstrukcję bez szalunków z resztkami siana. Po drugiej stronie drogi mieszkała pani Kowal z dwoma synami. Jeden z nich uprawiał kolarstwo. Mąż pani Kowal zmarł w 1964 r. i został pochowany na cmentarzu w Czarnem. Nieco niżej, przed skrzyżowaniem do Nieznajowej i Radocyny, po prawej stronie drogi mieszkała rodzina Piotra Sirak (mówiono wówczas Sierak) – rodzice i dwoje dorosłych córek. Z opowiadań kojarzę, iż zamieszkiwała tam także pani Kobak – czy była to wdowa po gajowym Michale uprowadzonym przez UPA w 1947 r.? W jaki sposób była spokrewniona z tą rodziną – nie wiem.

Z Tatą w Leśnictwie Nieznajowa pracowali trzej gajowi. Obok skrzyżowania, w starej, rodzinnej chacie mieszkał Jan Chwałyk (Chwalik) z żoną Rozalią zmarłą w 1976 r. i pochowaną na cmentarzu w Czarnem. Syn państwa Chwałyków prawdopodobnie wyjechał na Ukrainę (wówczas do ZSRR) ale uciekł i powrócił do domu – niestety też nie znam jego losów. Pan Jan był niezwykle obowiązkowym gajowym. Kiedy Tato zarządził w leśniczówce naradę o godz.7:00 pan Chwałyk letnią porą przychodził późnym wieczorem w pobliże leśniczówki, kładł się zawinięty w swoją pałatkę i drzemał do rana, żeby przypadkiem nie spóźnić się na służbowe spotkanie. Dlaczego nie przyszedł na kwaterę? Tego nie wiem.

Drugim gajowym w leśnictwie był Józef Biela. Mieszkał on w nowej gajówce obok obecnego hotelu w Radocynie jadąc w kierunku Zdyni.

Trzecim zaś był Zenon Gurba, który wraz z żoną Marią i dziećmi zamieszkiwał

starą gajówkę przy ujściu potoka z Wołowca do Wisłoki. Ponieważ pochodził on podobnie jak moi rodzice z Odernego – z jego rodziną utrzymywaliśmy bliższe kontakty. Pamiętam wspólne spotkania z okazji świąt czy też Nowego Roku, przejazdu sankami do Nieznajowej. Po śmierci żony w 1973 r. Zenon wyjechał do Krynicy, zmarł w 1999 r. i wraz z żoną i trójką dzieci pochowany jest na cmentarzu w Odernem.



*Przed siedzibą nadleśnictwa Gładyszów – pozostałością dworu Miłkowskich, Stawiarskich i Dzieduszyckich w Uściu Gorlickim. Pracownicy – wśród nich Antoni Baniak, Julian Gurba i Jan Chwałyk, lata 60-te (fot. ze zbiorów autora)*

W Nieznajowej mieszkał jeszcze jeden przyjaciel rodziców – Julian Dobrzański wraz z żoną Marią i dwiema córkami. Przed wojną był naczelnikiem miejscowej poczty. Po wojnie przeżył napad rabunkowy, o czym czytamy w dokumentach UBP zarchiwizowanych w Rzeszowskim Oddziale IPN:

Dnia 22.XII.1947 r. dwóch nieznanych osobników podejrzani członkowie bandy U.P.A uzbrojeni w karabiny ręczne, w mundurach Wojska Polskiego dokonali napadu rabunkowego na mieszkanie ob. Dobrzańskiego Juliana zam. w gr. Czarnej gm. Gładyszów pow. Gorlice, gdzie na szkodę w/w zabrali parę zelówek gumowych, jedną koszulę, 4 m. płótna oraz jeden akumulator od radia.

Dochodzenie w tej sprawie prowadzi Post. M.O. w Gładyszowie.

Znacznie większa tragedia dotknęła brata Juliana – Józefa Dobrzańskiego. Jak czytamy w dokumentach IPN:

Dnia 5.VI.48 wracając z Gorlic furmanką ob. Dobrzański Józef zam. w gr. Czarne gm. Gładyszów pow. Gorlice wraz ze swymi córkami jedna 5 druga 8 lat przez lekkomyślność wjechał do wezbranej rzeki z zamiarem przejechania na drugą stronę w gr. Rychwałd. W czasie przejazdu wywrócił się wóz w wyniku czego utopił się ob. Dobrzański wraz ze swymi córkami. Zwłoki po paru dniach zostały odnalezione.

Nie znalazłem grobów tych ofiar chociaż zapewne spoczywają na cmentarzu w Czarnem.

Pamiętam także wysoką starszą panią. Była to prawdopodobnie siostra Juliana – Julia Dobrzańska. Zarówno Julian, który zmarł w roku 1967 jak jego siostra Julia (żyła 92 lata) pochowani zostali na cmentarzu w Czarnem. Znacznie młodsza żona Juliana, po jego śmierci wyjechała z Nieznajowej. Córki ukończyły studia medyczne i są lekarkami.

Postać pana Juliana Dobrzańskiego utkwiała mi w pamięci także w związku z jego udziałem w uroczystości rodzinnej. 22 sierpnia 1965 r. w kościele p.w. Niepokalanego Poczęcia N.M.P. (dawnej cerkwi grekokatolickiej w Krzywej), odbyła się ceremonia zaślubin mojej starszej siostry Bolesławy z Michałem Gurbą z Odernego. Ceremonię prowadził proboszcz z Gładyszowa ks. Stanisław Cierniak – ksiądz bardzo oddany swojej parafii i parafianom. Na mszę przyjechał swoim motocyklem „jawa”, położył go w rowie i z plecakiem zawierającym szaty kapłańskie skierował się do cerkwi. Po ceremonii wyszedł jeszcze raz do młodych, którzy zajęli już miejsca na wozie konnym, i składając im życzenia wsunął w ich dłonie pieniądze, które wcześniej przekazali w formie ofiary. Taki to już bezinteresowny był ksiądz Stanisław.

Wracając do postaci pana Dobrzańskiego – przyjechał on na uroczystość z Nieznajowej swoim „łazikiem” odkupionym od placówki WOP. Samochód ów miał już dobre lata za sobą – szczególnie układ kierowniczy. Pan Julian miewał kłopoty z jego uruchamianiem, a także opanowaniem właściwego kierunku jazdy ze względu na opóźnioną reakcję przednich kół na ruchy kierownicy, szczególnie na dziurawej drodze. Po zabawie weselnej, rankiem pan Julian zasiadł za kierownicą swego pojazdu i uruchomił go przy pomocy innych biesiadników, jednak musiał wykonać szereg manewrów od rowu do rowu aby w końcu utrzymać się w pasie wyboistej drogi. Wiem,

że szczęśliwie dotarł do Nieznajowej.

Naprzeciw gajówki Zenona Gurby w Nieznajowej znajdowało się gospodarstwo państwa Remiaszów. Hodowali oni owce ale także piękne konie. Obszerną informację na ten temat udzieliła w wywiadzie pani Maria Remiasz, wdowa po Władysławie.

Wśród znajomych rodziców nie sposób nie wymienić pani Marii Janik – kierowniczkę szkoły podstawowej w Krzywej. Ich znajomość zapoczątkowana bezpośrednio po objęciu przez Tatę leśnictwa Nieznajowa miała później także charakter praktyczny. Pani Marysia, osoba towarzyska i bardzo miła, zaproponowała mojej Mamie spotkania przy kawie, przy jednoczesnym wykorzystaniu posiadanej przez nią pralki wirnikowej „Frania”. Inaczej mówiąc, łączenia przyjemnego z pożytecznym. W Krzywej była już bowiem sieć elektryczna – w leśniczówce Nieznajowa nie. Po małej czarnej Mama pakowała jeszcze mokre ale uprane ciuszki do plecaka i wracała suszyć je już w leśniczówce. Jaką stosowano formę rewanżu – nie wiem.



*Moja Mama Irena Baniak w oknie leśniczówki od strony drogi i ogrodu (fot. ze zbiorów autora)*

Kolejna reorganizacja Lasów Państwowych spowodowała zmianę nazwy leśnictwa Nieznajowa na leśnictwo Jasionka. Tato został więc z dniem 1 listopada 1966 r. leśniczym „nowego” leśnictwa. Niestety nie wiem, czy nastąpiły w związku z tym jakieś zmiany terytorialne oprócz nazwy. Nadal jednak mieszkaliśmy w tym samym budynku z nowym szyldem.

Trawestując znane powiedzenie – „nie tylko lasem leśnik żyje” dodam, że dzięki akcjom socjalnym pracownicy nadleśnictwa Gładyszów uczestniczyli także w organizowanych wycieczkach krajowych (np. w Pieniny i w Tatry) i zagranicznych (Węgry).



*Spływ Dunajcem – na środkowej ławce z przodu długoletni sekretarz nadleśnictwa Stanisław Szot, z tyłu po stronach zewnętrznych rodzice – Antoni i Irena, na zdjęciu drugim Antoni na Kasprowym Wierchu (fot. ze zbiorów autora)*

Leśniczówki przedstawionej na powyższych zdjęciach niestety także już nie ma. Jak wynika z mojej wiedzy po przeprowadzce Rodziców do kolejnego leśnictwa Bodaki, nie znalazł się chętny kandydat na leśniczego do zamieszkania w tym budynku. Nadleśnictwo podjęło więc decyzję rozbiórki tej budowli. Szkoda ponieważ budynek był w dobrym stanie technicznym.

W roku 1995 jeszcze z trawy chałpiska wznosiły się monumentalne schody betonowe – w roku 2023 w zaroślach udało się zauważyć jedynie kamienie podmurówki budynku mieszkalnego, zarys budynku gospodarczego i małe zapadlisko po istniejącej przed laty studni.

Mistrz Horacy wetknął we mnie jednak trochę optymizmu słowami – „nie wszystkim umrę...”. Schody, które były jeszcze widoczne na zdjęciu z 1995 r., w roku 2023 najprawdopodobniej rozkruszone w gruz i wykorzystane jako materiał budowlany

„z odzysku” stanowią fragmenty „opoki”, na której wzniesiono dom innego Mistrza Słowa – Andrzeja Stasiuka w Wołowcu.



*Na schodach wejściowych do byłej leśniczówki siostra Marysia i moja żona Irena 1995 r.*

*(fot. ze zbiorów autora)*

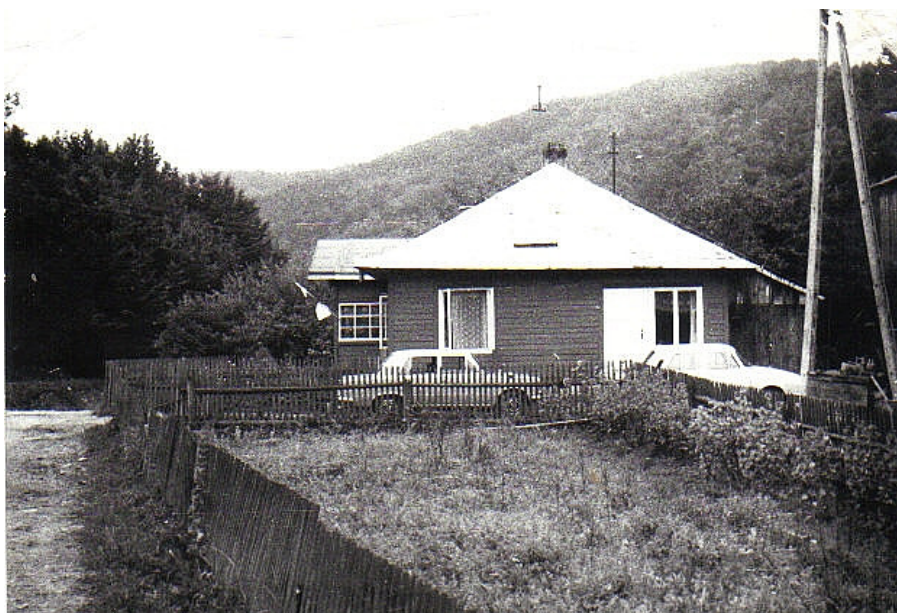


*Tak wyglądało to miejsce 1 maja 2023 r. (fot. ze zbiorów autora)*

## **LEŚNICTWO BODAKI**

Z dniem 1 kwietnia 1969 r. mój Tato, decyzją dyrektora OZLP w Przemyślu, mgr inż. Czesława Hodór objął leśnictwo Bodaki w nadleśnictwie Gorlice i tym samym zakończył epokę lampy naftowej. Do leśniczówki była bowiem doprowadzona energia elektryczna. W wakacje 1969 r. na dwóch przyczepach ciągnikowych rodzice wraz ze skromnym dobytkiem dotarli do leśniczówki w Bodakach. Na przyczepie jechałem także ja, już od roku zatrudniony w szkole podstawowej w Świątkowej Wielkiej w powiecie Jasielskim. W gospodarstwie domowym rodziców z racji wspomnianej energii elektrycznej musiała nastąpić rewolucja techniczna związana z poważnymi kosztami nowych inwestycji. Po drobnych przeróbkach wnętrza budynku poza istniejącą kuchnią i dwoma pokojami pojawiła się także łazienka z węzłem sanitarnym przy wykorzystaniu wody doprowadzonej ze studni na zboczu góry po przeciwnej stronie drogi. W łazience stanęła pralka elektryczna (oczywiście „Frania” bo automatów u nas jeszcze nie było), tranzystorowego „Guliwera” zastąpił sieciowy „Adam” a na stoliku w pokoju pojawił się telewizor „fregata”, którego obraz w odcieniach szarości „ukolorował” nieco filtr tęczowy od

zieleni (dół ekranu) do błękitu (góra ekranu). Oczywiście żelazko na węgiel zostało zastąpione elektrycznym, a lampa naftowa wynalazkami Edisona.



*Leśniczówka leśnictwa Bodaki – widok od strony Bodaków (fot. ze zbiorów autora)*

Jak widać na zdjęciu budynek posiadał ciekawą bryłę – wejście stanowił oszklony ganek. Widoczne białe drzwi stanowiły niezależne wejście do kancelarii leśnictwa, gdzie w owym czasie jeszcze królowało liczydło ale niedługo potem pojawił się tzw. „kręciołek” czyli mechaniczny „kalkulator”, na którym nauczyłem się szybko dodawać i odejmować, mnożyć i dzielić. Zresztą już wiele lat wcześniej opanowałem te działania na zwykłym liczydłem, często bowiem z Tatą przygotowywaliśmy listy płac, oraz obliczaliśmy miąższość drewna na składach. Te wszystkie nowinki spowodowały, iż warunki mieszkaniowe znacznie się poprawiły. Dodać należy, że skończyły się także kłopoty z komunikacją. Bezpośrednio za mostem na rzece był bowiem przystanek autobusowy.

Poniżej leśniczówki, tam gdzie obecnie znajdują się wielorodzinne budynki, przed mostem była działka warzywna uprawiana przez rodziców, obok niej stał pomnik złożony z dwóch płyt z inskrypcją:

Pamięci

Feliksa Sztaby PO komendanta Posterunku MO

Tadeusza Galickiego funkcjonariusza posterunku MO w Małastowie,



poległych bohaterską śmiercią z rąk reakcyjnego  
podziemia w walce o utrwalenie władzy ludowej 29 grudnia 1947  
w Ropicy Górnej.  
W XXX rocznicą Powołania MO i SB  
Społeczeństwo Powiatu Gorlickiego



*Nieistniejący pomnik poniżej nieistniejącej także leśniczówki obok drogi Gorlice-Konieczna  
(fot. ze strony internetowej Sekowa.info – serwis turystyczny)*

Na przeciw leśniczówki, po drugiej stronie głównej drogi przez rzekę przerzucony był mostek betonowy zwany „mostkiem Napoleona”, który istnieje do tej pory chociaż w stanie bardzo opłakanym. Wcześniej, jeszcze w okresie II wojny światowej w budynku tym urzędował leśniczy Michał Gołąb.

Dokładnie 6 miesięcy od objęcia leśnictwa Bodaki nastąpiła zmiana podziału administracyjnego nadleśnictwa Gorlice. Leśnictwo Bodaki od 1 października 1969 r. zostało przemianowane na leśnictwo Dragaszów.

Kilka lat później nastąpiło znaczne pogorszenie stanu zdrowia Taty. Choroba serca spowodowała konieczność przejścia z dniem 24 października 1976 r. na rentę chorobową po przepracowaniu 44 lat w różnych, często bardzo trudnych warunkach mieszkalnych i terenowych, a następnie na emeryturę. Od 1976 r. Tato wraz z Mamą Ireną zamieszkał w Bieczu. W wyniku rozległego zawału serca zmarł w szpitalu w Gorlicach 17 kwietnia 1999 r. W roku 2006 zmarła nasza Mama – oboje spoczywają na cmentarzu w Bieczu.



*Tablica na grobie rodziców – Antoniego i Ireny na cmentarzu w Bieczu  
(fot. ze zbiorów autora)*

Z przedstawionych we wspomnieniach siedzib leśnych mojego Taty nie zachowała się do dnia dzisiejszego żadna z wyłączeniem naszego, rodzinnego domu w Odernem – na szczęście zachowałem zdjęcia leśniczówek powojennych, które pozwalają wyobrazić sobie ich istnienie.

## **POZA BESKIDEM NISKIM**

Wspomnienia, które przedstawiłem w powyższym tekście dotyczyły okresu od końca XVIII do lat siedemdziesiątych wieku XX. Oczywiście musiały opierać się w dużej mierze na zachowanych dokumentach i informacjach przekazywanych przez moich Dziadków i Rodziców. Obecnie z żoną mieszkamy od 2010 r. w Strzyżowie, czyli od momentu przejścia na emeryturę. W okresie 1974-2010 przebywałem z rodziną poza Beskidem Niskim – w Natangii (część Warmii) oraz w Bieszczadach. Już wówczas pojawiły się pierwsze sygnały mobilizujące do zainteresowania się zarówno przeszłością Odernego jak też historią Rodziny.

Był czerwiec roku 1984, zbliżało się zakończenie kolejnego roku szkolnego. Na moim biurku sekretarz szkoły położył nr 6 miesięcznika „Nowa Szkoła”. Machinalnie przewracałem kartki czasopisma i nagle zrobiło mi się gorąco, a ciało przeszył dreszcz emocji – zobaczyłem bowiem przed sobą rodzinny dom! W miesięczniku tym pan

A. Czarnowski opisując walory dydaktyczne wycieczek szkolnych zamieścił zdjęcie zatytułowane „Na szlaku wycieczki górskiej – poszukiwanie właściwej drogi”:



Na trasie wycieczki górskiej – poszukiwanie właściwej drogi  
(Fot. A. Czarnowski)

Zdjęcie przedstawia grupę młodzieży odpoczywającą przy drodze wiodącej z Odernego do Nowicy obok kaplicy pod wezwaniem św. Stanisława Biskupa. Na drugim planie znajduje się mój rodzinny dom, dom Magdaleny i Wincentego Baniaków, obok zaś skoligaconej także rodziny Matałów. Na horyzoncie widać kulminację Czerwonej Góry ze znajdującym się w pobliżu jej szczytu siedliskiem Mitusiów. Przez kilka minut nie mogłem dojść do siebie, następnie zawołałem sekretarza i powiedziałem mu o moim odkryciu. Zdarzenie to miało szczególne znaczenie dla mnie, gdyż szkoła, w której wówczas pracowałem znajdowała się na północy Polski w Kamińsku k/Bartoszyce na Mazurach, przy samej granicy z ówczesnym ZSRR.

Drugie zdarzenie to wycieczka w 1978 r. do Kamiannej, Światowego Centrum Apiterapii (leczenia produktami pszczelimi) założonego i prowadzonego wówczas przez ks. dr Henryka Ostacha. W Centrum odpoczywały wówczas na kolonii letniej organizowanej przez TPD w Krośnie dzieci z uboższych rodzin. Część opiekunów kolonii i kierownictwo to nasi przyjaciele i nauczyciele. Jechaliśmy wówczas samochodem z Uherzec Mineralnych a ponieważ mieliśmy trochę więcej czasu zaproponowałem przejazd przez Uście Gorlickie i nad zalewem w Klimkówce. Kiedy zatrzymałem się na

tw. Czerwonej Górze nad Oderem siostra mojej żony, Barbara, zawołała – **Adam, jak tu pięknie!**

I to krótkie zawołanie wreszcie otworzyło mi oczy. Od tego momentu podjęliśmy działania mające na celu zorganizowanie siedliska w mojej, rodzinnej wsi. Najpierw poszukiwania opuszczonych siedlisk, a finalnie w 1999 r. zakup działki, na której mieliśmy odpoczywać w wakacje w namiocie. Jednak zaraz pojawiła się przyczepa kempingowa, a w 2006 r. stanął dom. Corocznie od maja do listopada spędzamy w nim czas.



*Moja Rodzina przed letnim domem na granicy Odernego i Nowicy (fot. Michał Drygaś)*

Z inicjatywy moich dzieci jak też bratanków i siostrzeńców już dwukrotnie zostały zorganizowane imprezy rodzinne – spotkania potomków naszych Rodziców Ireny i Antoniego Baniaków: „Zjazd Baniaczków – Radocyna 2008” w gościnnym hotelu i na polu namiotowym w Radocynie oraz „II Zjazd Baniaczków – Zdunya 2023” w byłym hotelu nadleśnictwa, a obecnie hotelu „U Zosi”. Daje to nadzieję, iż następne pokolenia będą pielęgnować i uzupełniać wiedzę o naszej Małej Ojczyźnie i genealogii Rodziny.